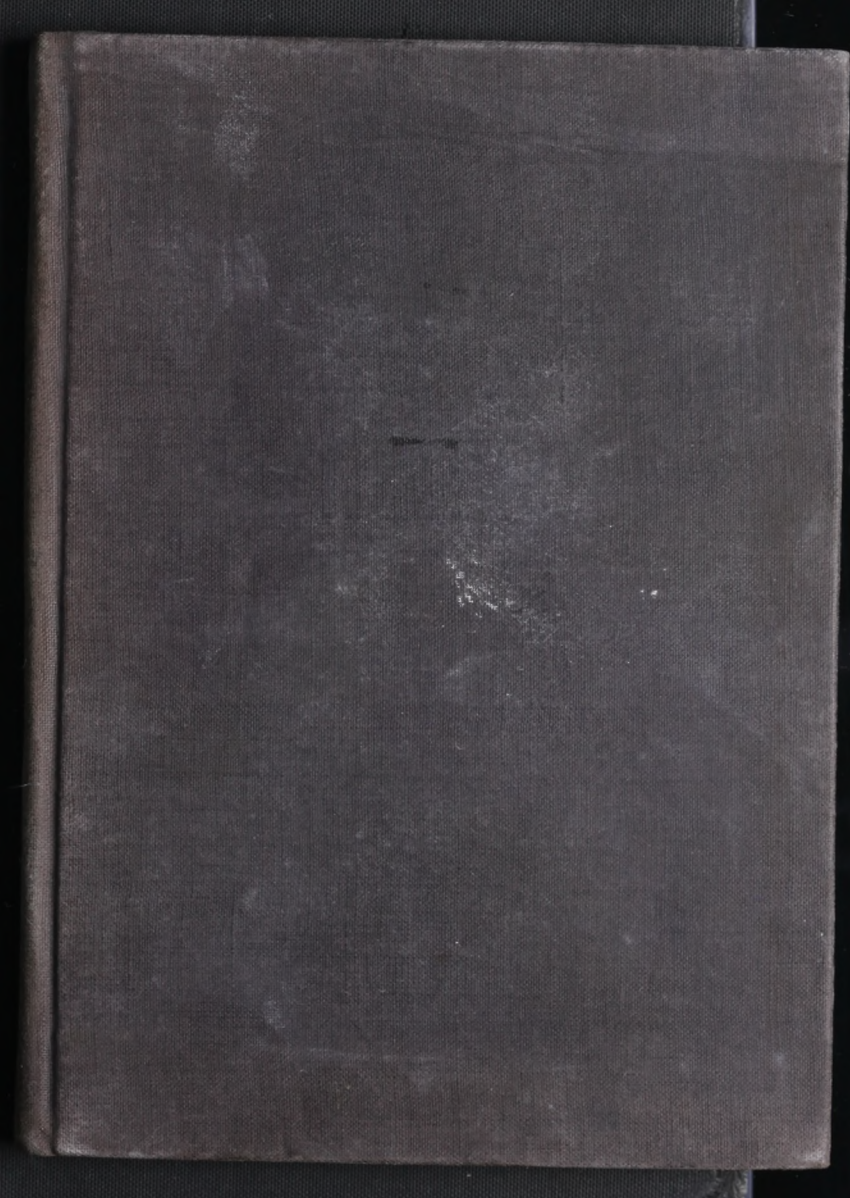
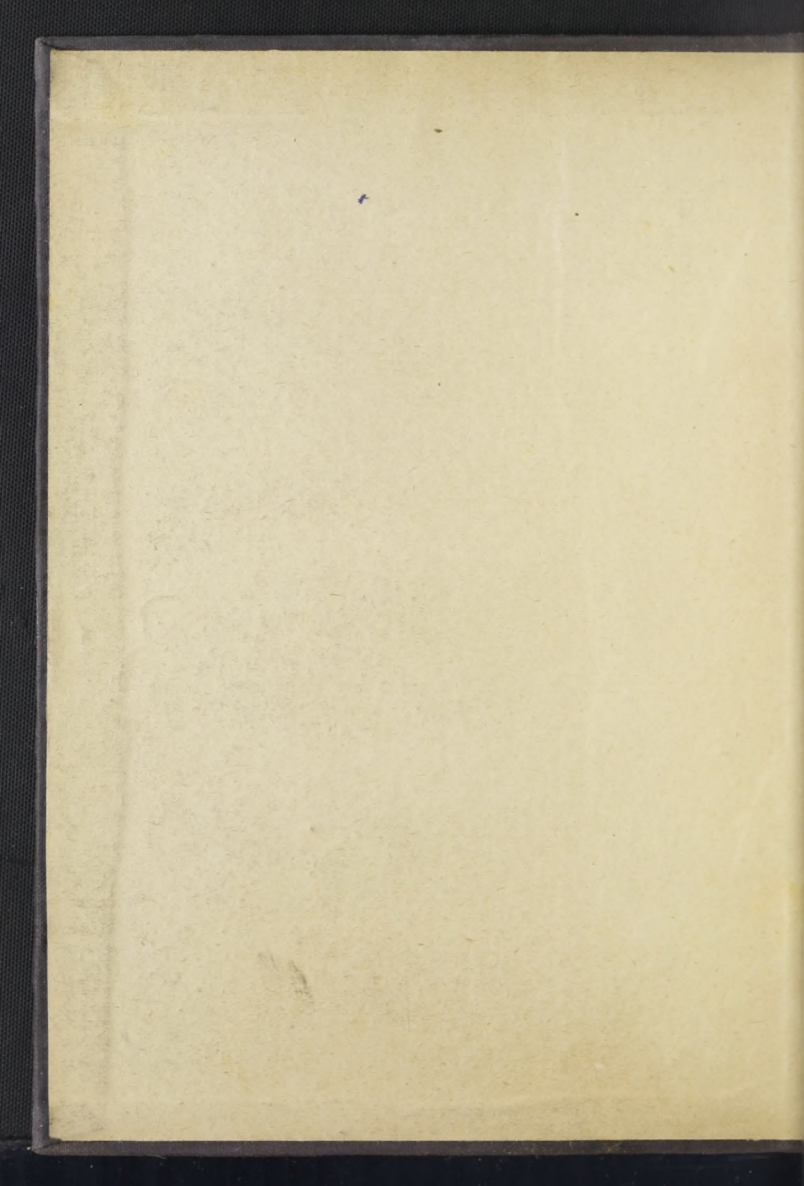


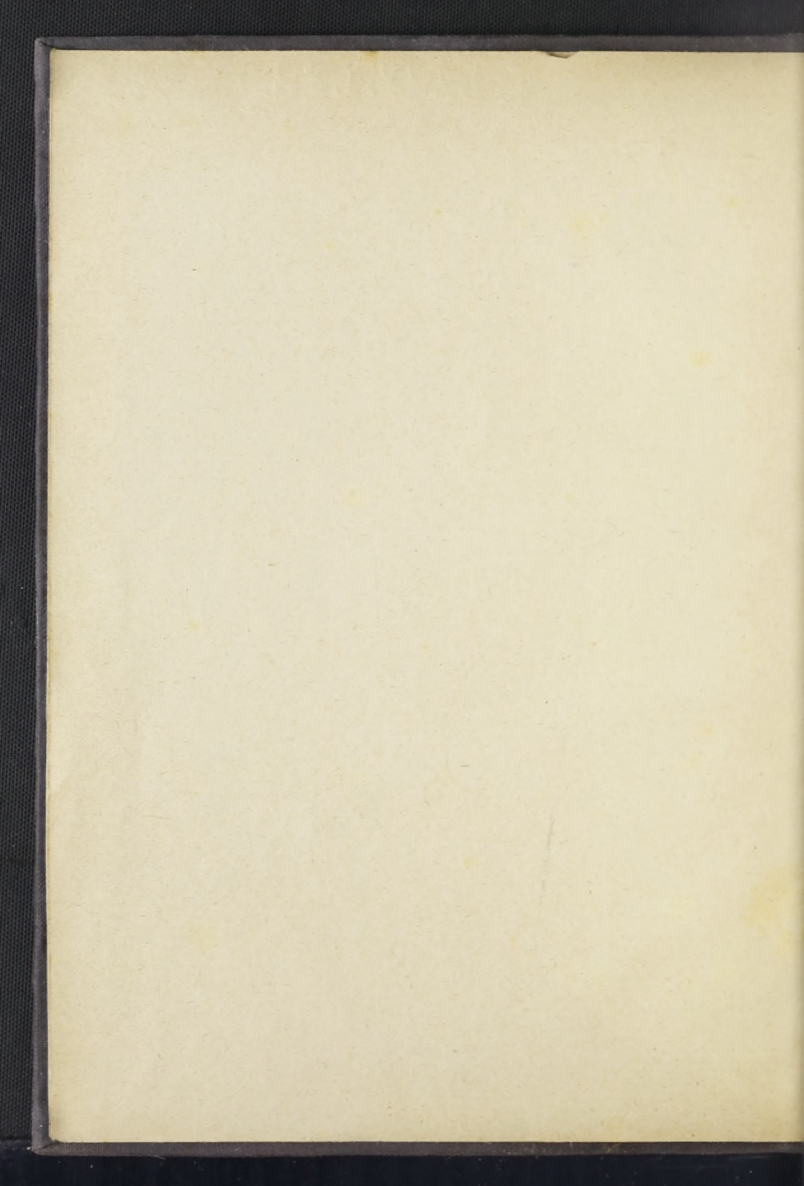




IX-2

I. 1. 218. 624.

97



ZA GROBEM ISTNIEJE CZYŚCIEC.

Manuscriptum cui titulus: „Za grobem istnieje
Czyściec—część pierwsza“ nullo circa sacram fidem
ac bonos mores laborare errore, typisque imprimi
et vulgari posse testor.

Varsaviae, die 9 Martii 1900 a.

Franciscus Brzeski

Praelatus Lovic., Curatus par. S. Andr. Vars., libror. arg
relig. in Archid. Vars. Censor.

APPROBATUR.

Varsaviae die 26 Februarii (10 Martii) 1900 anni.

Judex Surrogatus
Canonicus Metropolitannus

Leopoldus Łyszkowski.

Secretarius

Sigism. Mścichowski.

№ 1375.

О Д О Б Р Е Н О .

г. Варшава 26 Февраля (10 Марта) 1900 г.

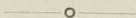
Судья Суррогатъ Варш. Р.-К.
Духовной Консистории
Каноникъ Митрополитальнаго
Капитула

Кс. А. Лышковскій.

Секретарь

Кс. С. Мсциховскій.

Ks. Z. Skarżyński



Za grobem — istnieje Czyściec

WIARA I PRZYKŁADY

„A tedy święta i zbawienna jest myśl
modlić się za umarłe, aby byli od grzechów
rozwiązani“. *Ks. II Machab. XII, 46.*



CZĘŚĆ PIERWSZA



WARSZAWA

Skład główny w księgarni JANA FISZERA, Nowy-Świat Nr. 9

1901

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Августа 1900 года.



I. 1. 218. 624



С 2. 1.

1978 K 415 / 97

W S T Ę P.

Gerson, profesor paryskiego uniwersytetu, opowiada, że pewna matka, umierając pozostawiała niepocieszonego syna. Syn, zalewając się łzami, obiecywał matce, że nigdy o niej nie zapomni.

Matka umarła; syn zarządził wspaniały pogrzeb. Lecz, wkrótce, ustały modlitwy, zatarły się wspomnienia i poszła w niepamięć nieboszczka. Bóg w swem miłosierdziu z za grobu pozwolił zapomnianej matce uczynić wyrzut niewdzięcznemu dziecku.

Objawiła się synowi ogromnie smutna, i bardzo poważnie odezwała się doń: „mój synu, mój jedyny skarbie! pamiętaj choć trochę o twej nieszczęśliwej matce! nadstaw uszu na moje jęki i wysłuchaj mej prośby!

„Zastanów się nad karą i mękami, jakie wycierpieć Bóg mi przeznaczył. Przypatrz się miejscu mej kaźni, gdzie ogień mię pożera.

„Ach! na ziemi wierzyłam, że mnie kochasz!—w imię tego przywiązania przyjdź mi

z pomocą w niewypowiedzianych cierpieniach. Żadne słowo nie może określić ich rozmiaru, żaden umysł zrozumieć ich natężenia. Podaj mi rękę, bym co rychlej wydostać się stąd mogła, ratuj mnie, ach ratuj. Przyjdź, ale nie z ciałem, bo to próżne i niemożliwe, lecz pośpiesz z dobrymi uczynkami jak: modlitwa, jałmużna, osobiste umartwienie oraz pobożne wstawiennictwo.

„Jedna łza, pochodząca z twego skruszonego serca, wylana na pamiątkę matki, być może, zgasiłaby trawiące płomienie, a przynajmniej ulżyłaby wielce moim cierpieniom.

„Jakżeż syn może całkiem odmówić, lub zwlekać z pomocą tej, co go w boleści na świat wydała, mlekiem własnej piersi wykarmiła, kosztem tyłu poświęceń wychowała? Gdym żyła na świecie, zawsze był dla mnie pełen starannej czułości, posłuszny, wdzięczny, rozczulony moją troskliwością, której był zawsze ukochanym przedmiotem. Cóż się stało, że po mojej śmierci widzę cię tak obojętnym, niewdzięcznym, bez iskiej miłości? Wszak u mego śmiertelnego łoża, zalany łzami, najwierniejsze czyniłeś mi obietnice: miałeś nigdy o mnie nie zapominać, byłeś gotów uczynić wszystko, co by było w twej mocy dla mojej duszy? Jeśliś żywą mnie kochał, dlaczego obecnie ta miłość w tobie ostygła? Ażalim przestała być twoją matką? Zali dla tego, że śmierć czasowo nas rozdzieliła, zrzuciłeś słod-

ki ciężar obowiązków syna? Ach! jeśli nie wygasła na dnie twej duszy ostatnia isierka miłości, którą mówiłeś, że nosisz w sercu dla mnie, usłysz moje jęki, współczuj mojej boleści, ulżyj moim przerażającym cierpieniom.

„Jeśli syn zapomina o wspomaganii matki, do kogóż ona uda się o ulgę i pomoc?”

Przytoczona rozmowa słabem zaledwie jest echem skarg, jakie codziennie z tamtego napływają świata. To głos ojca, lub matki oskarżający własne dzieci, to jęk żony wyrzucający oziębłość mężowi, bolesna skarga brata lub siostry; wszyscy wołają, że są zapomniani i opuszczeni; czasem przyjaciel błaga o pomoc swego towarzysza słowami Hioba: *Miseremini, miseremini mei saltem vos amici mei: Zmitujcie się, zmitujcie się chociaż wy przyjaciele moi!* A zatem w celu przypomnienia wam, chrześcianie, obowiązku, jaki sprawiedliwość i miłość nam nakazuje, abyśmy przychodzili z pomocą umarłym, zebrałem z poważnych źródeł kilkadziesiąt przykładów, jakie dla naszej pamięci przechowała tradycja kościelna, zdolnych was przekonać:

1. Że na tamtym świecie jest miejsce kary, gdzie dusze odpokutowują najdrobniejsze winy, zanim wejdą do nieba.

2. Że ta kara jest straszna.

3. Że my możemy przynosić ulgę cierpiącym душom.

4. Ze te dusze wzamian odpłacają się wdzięcznością swym dobroczyńcom.

„Tą samą odmierzą nam miarę, jakąśmy bliźnim namierzili“: oto ewangeliczna zasada regulująca nasze stosunki z Bogiem i z naszymi braćmi.

Kto nie pamiętał o drugich będzie zapomniany.

Kto był miłosiernym dla bliźnich, znajdzie miłosierdzie dla siebie!

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Dusza ludzka nie umiera.

*Życie pozagrobowe stwierdza choćby sam fakt
modlitwy za umarłych.*

Modlitwa za umarłych logicznie nakazuje rozumowi naszemu uznać katolicką naukę o czyśćcu. Istotnie, na cóżby się przydało modlić za świętych, którzy jaśnieją pełną chwałą w niebie, lub za nieszczęśliwych potępieńców, bezpowrotnie zatopionych w wiecznym ogniu. Święci niepotrzebują naszej pomocy, a potępieni znajdują się w zupełnej niemożebności korzystania z niej. A jednak modlitwa za umarłych nosi na sobie pieczęć najstarszych dokumentów i świadectw.

Judasz Machabejczyk, objawszy po swoim ojcu Matatiaszu wysoki urząd naczelnego wodza wojsk Izraela, w roku 167 przed narodzeniem Pana Jezusa odniósł cały szereg nadzw-

czajnych zwycięstw nad wodzami Antyocha, króla Syrii. Bóg jawnie opiekował się Judaszem Machabejczykiem i jego żołnierzami, którzy, unikając szczęśliwie wszystkich niebezpieczeństw, wyglądali jakoby moc boża uczyniła ich niepodatnymi i znieczulonymi na pociski i miecze nieprzyjaciół. Jednak w bitwie z wojskiem Gorgiasza, Izraelici opłacili zwycięstwo śmiercią znacznej liczby żołnierzy. Bóg ukarał ich w ten sposób za to, że prawem zdobyczy zagarnęli nieprzyjaciółom różne przedmioty, odnoszące się wprost do bałwochwalczej czci bogów, co było surowo prawem Mojżesza zakazane. Wówczas Judasz nakazał modlitwy i ofiary, na uproszenie odpuszczenia grzechów i wspomnienie dusz poległych żołnierzy. Oto dosłowny opis tego zdarzenia według księgi Machabeuszów (II Mach. XII, 39, 46).

„A nazajutrz przyjechał Judasz ze swymi, aby pobrał ciała pobitych i pochował je z powinowatymi w grobach ojcowskich.

„Tedy należeli pod szatami pobitych dary bałwanów, którzy byli w Jamnii, czego Żydom zakon zakazuje; wszystkim tedy jawno było, iż dlatego byli porażeni.

„A tak wszyscy błogosławili sprawiedliwy sąd Pański, który rzeczy skryte jawnemi uczynił.

„A tak udawszy się na modlitwy, prosili, aby ten grzech, który się stał w zapomnienie

poszedł. Ale najmężniejszy Judasz napominał lud, aby się bez grzechu zachowali, widząc na oczy, co się stało dla grzechów onych, którzy polegli.

„A złożywszy dwanaście tysięcy drachm srebra posłał do Jeruzalem aby ofiarowano za grzechy umarłych ofiarę, dobrze i pobożnie o zmartwychwstaniu myśląc.

„(Bo gdyby się nie był spodziewał, że oni pobici zmartwychwstać mieli, zdałaby się rzecz nie potrzebna i próżna, modlić się za umarłe).

„A iż uważał, że ci, którzy pobożnie byli zasnęli, bardzo dobrą łaskę mieli zachowaną.

„A tak święta i zbawienna jest myśl modlić się za umarłe, aby byli od grzechów rozwiązani.“

Z żydowskiej Synagogi wiara i obrząd przeszedł do Chrystusowego Kościoła; najstarsze mszalne (liturgiczne) książki zachowały pamięć i dają świadectwo tej nauce. Więcej jeszcze—Akta męczenników, pisane w pierwszych pięciu wiekach po Chrystusie przechowały nam oczywisty dowód wiary ówczesnego Kościoła w ten przejściowy stan cierpień, między ubłogosławieniem nieba, a wieczną rozpaczą piekła. Mówią wyraźnie o cierpieniach czasowych, dających się łagodzić dobrymi uczynkami żyjących.

Pierwszy apostoł modlitwy za dusze czyśćcowe.

Nad brzegiem Sekwany niedaleko miasta Rouen, w starym klasztorze, na początku dziesiątego wieku, żył cicho pobożny zakonnik imieniem Klodoald.

Pokorny brat Klodoald w ciągu pięćdziesięciu lat swego pobytu w zakonie budował braci przykładem świętego życia. W młodzięcym wieku wstąpiwszy do bożego domu, zrzekł się—jak to sobie po cichu opowiadano, aby nie dotknąć nadzwyczajnej skromności i pokory Klodoalda — świętnego imienia, wielkiego majątku; pożegnał się na wieki z przyjemnościami światowego życia, oddając się niepodzielnie na wyłączną służbę Bogu. Pełnił w zakonie skromne obowiązki braciszka — posługacza i nikt w ciągu jego długoletniego pobytu nie mógł mu najlżejszej zarzucić winy.

Obdarzony dużemi zdolnościami, ograniczył swoją pracę do najglówniejszej ze wszystkich, mianowicie do nauki o zbawieniu. Czytanie i rozmyślanie nad świętymi książkami, pilne wertowanie starożytnych rękopisów klasztoru zapępniało w życiu Klodoalda wolne chwile, pozostałe od modlitwy i ręcznych zajęć.

Z jaką radością zamykał się pokorny braciszek w swej celi, spędzając długie godziny sam na sam z ulubionemi książkami. Znajdował bowiem w nich coraz nowy pokarm dla serca i ducha.

Nic go od tej pracy odciągnąć nie mogło i, mimo że regułę zakonną wysoce szanował, zdarzało się nieraz, że czekano na jego usługę, albowiem zamiłowanie do nauki chwilami brało górę nad wszystkimi innymi obowiązkami.

Pewnego dnia, gdy brat Klodoald wczytywał się w stary Testament, wzrok jego padł na słowa księgi Machabeuszów:

„A tak święta i zbawienna jest myśl modlić się za umarte.“

Klodoald pochylił głowę i długo, długo rozmyślał nad temi słowami.

Modlić się za umarłych, ach! to nie była rzecz nowa dla niego. Co dzień, od najmłodszych lat, czasu modlitwy budziła się z coraz większą natarczywością w jego duszy myśl gorąca, czuła, o duszach zmarłych ludzi, których lżejsze winy trzymają zdaleka od Boga. Pewnego dnia odczute wrażenie było stokroć, aniżeli kiedykolwiek, potężniejsze. Chociaż dotąd modlił się bezustanku za umarłych, zgodnie z życzeniem i wolą Kościoła, niemniej czasami odczuwał ogromne zwątpienie, ogarniające jego ducha.

„Któż wie? myślał: czy ta modlitwa nie jest próżną? Czyżby najwyższy sędzia w godzinie naszego zejścia nie ogłaszał zaraz nieodwołalnego wyroku? Niebo dla dobrych — piekło dla złych! — a zatem dla czyśca nie ma miejsca? Ta myśl, którą całą siłą swej wiary odrzucał, bezustanku wracała, niby senna mara, uporczywa, gnębiąca.

Biedny braciszak, mając serce przepelnione współczuciem dla dusz zmarłych, w żaden sposób nie mógł zdecydować się w sercu na nieodwołalne ich potępienie. Wiedział i pojmował, że ci, co przyływają do brzegów wieczności, codzienn w niezliczonej masie, nie wszyscy są zupełnie godni i dostatecznie przygotowani, aby wejść tam, gdzie nic zmazanego przebywać nie może. Czyż można zgodzić się z myślą o wiecznem wygnaniu z nieba wiernych, lecz niedoskonałych dusz, na równi z potępionymi? — lub skazywać je na niezupełne szczęście, zmieszane ze łzami tęsknoty i goryczy?

Żali nie jest sprawiedliwiej mniemać, że one muszą ponosić cierpienia, celem zniszczenia pozostałych śladów grzechu i wypłacenia do ostatniego pieniążka zaciągniętych długów wobec wiecznej sprawiedliwości?

Tak rozumował brat Klodoald.

Bóg jest nieskończenie dobry, a jednocześnie nieskończenie sprawiedliwy. Za nieprzebaczone ciężkie grzechy duszom zbuntowanym

i niepokutującym przeznacza piekło; za mniejsze winy, dające się wytłómaczyć ludzką ułomnością, za przebaczone grzechy, lecz niedość odkarane naznacza duszy czasową oczyszczającą pokutę w czyście — tak przynajmniej nakazuje sądzić rozum i wrodzone poczucie sprawiedliwości. Wówczas karząca sprawiedliwość i przebacząca dobroć Boga będą zobopólnie zadowolone. A więc witam cię o czyście! dodał z zapalem zakonnik.

„Jeśli istnieje królestwo łez, rozumował Klodoald to w niem wszechwładnie musi panować nadzieja, zatem cierpienie nie będzie już wieczne, bo podlega jakiegokolwiek zmianie.“

„Anioł boskiego miłosierdzia rachuje tam godziny, a skracają je modlitwy żywych.“

Klodoald padł na kolana, i, mając ręce skrzyżowane, nieruchomy, niby rzeźba z marmuru, długo się modlił; duch jego porwany w zaświaty, zdawał się być cały pogrążony w zachwycie. Gdy powstał, twarz miał zalaną łzami, wielkiego bowiem dokonał postanowienia; czuł, że sam Bóg natchnął go tą myślą?

„Nakoniec szepnął, przestanę być istotą bezpożyteczną na ziemi. Bóg kładzie mi w ręce sposób wynagrodzenia za własne grzechy, dając możliwość jednocześnie zrobienia wiele dobrego drugim. W czyście niezliczone szeregi biednych dusz cierpią okrutne męki, błagając

naprózno litości u żywych. Pragnę mimo moją nędzę, poświęcić pozostałe dni życia mego na przynoszenie ulgi duszom czyśćcowym; chcę być tu na ziemi ich obrońcą, przyjacielem, orędownikiem.“

Klodoald postanowił rzucić się do nóg przeora i, z całym zaufaniem odkryć mu swe dążenia, oraz zamiary. Przedewszystkiem prosił o pozwolenie na chodzenie od klasztoru do klasztoru, od wioski do wioski, aby mógł w każdym chrześcijańskim domu prosić o litość wiernych, na rzecz opuszczonych dusz w czyście. Przeor z wielką dobrocią przyjął ten projekt, widział w nim bowiem istotnie wolę bożą, i rozkazawszy czule powstać zakonnemu bratu, błogosławił mu z wylaniem, mówiąc:

„Dzieło, które przedsięwierzysz jest wielkie i pożyteczne: idź w pokoju Klodoaldzie, błagam Boga, aby kierował twemi krokami i dał ci potrzebną odwagę, oraz siłę na spełnienie tego świętego posłannictwa.“

„Amen!“ odpowiedział braciszek, dodając z nieśmiałością:

— Jeszcze o jedną łaskę zamierzam cię prosić przewielebny Ojcie.

— Mów, synu.

— Klasztorna księżnica zawiera wiele dzieł, które potrzebuję raz jeszcze przeczytać i niektóre ustępy z książek wypisać, w celu

ułatwienia sobie mego zadania — pragnę więc jeszcze dni parę побыć w klasztorze...

— Chętnie się zgadzam, odrzekł przeor, pracuj mój synu, czytaj książki i pargaminy, przypatruj się obrazom, pamiątkom, słowem zbierz skrzętnie wszystko, co Kościół święty, Stary i Nowy Testament, Papieże, Doktorowie i Męczennicy zapisali o czyście, lub katolicy artyści pędzłem, powszechną wiarę w tym względzie i własne przekonania na murze lub płótnie utrwalili: staraj się ze wszystkiego skorzystać.

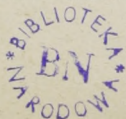
Klodoald podziękował przełożonemu i zabrał się do dzieła z iście męską żarliwością ducha.

W ciągu piętnastu dni, prawie bez snu i odpoczynku, przewracał stronnice nagromadzonych w około niego ksiąg, wypisując z nich długie wyjątki. Po skończeniu zamierzonej pracy, gdy porobił wyciągi z książek, mówiących o duszach czyśćcowych, pożegnał przełożonego, zakonnych braci, wziął podróży kija do ręki i poszedł w świat.

* * *

Jakież było zajęcie od tego pamiętnego dnia brata Klodoalda?

Pędził on życie pełne cichego cierpienia i całkowitego zaparcia siebie, które czasami rozjaśniały chwile prawdziwie wyższej, bo bo-



żej pociechy. Wysztydzony lub ośmieszany przez jednych, wzbudzał w drugich poszanowanie i uwielbienie dla siebie. Dobro, któremu życie poświęcił, było istotnie olbrzymie. Zgodnie z radą Pana Jezusa szedł prosto, nie oglądając się na żadne trudności, nie myśląc o potrzebach i wygodach ciała. Ulubionem hasłem Klodoalda przy spotykaniu się z ludźmi były słowa: „Pamiętajcie o duszach osób wam drogich, módlcie się i czyńcie za nie pokutę, aby Bóg za przyczyną waszych dobrych uczynków, ulżył ich cierpieniom i co prędzej dopuścił je do zakosztowania wiecznego szczęścia w niebie.“ Znalazszy gościnne przyjęcie w chacie wieśniaka, nim pomyślał o należącym mu się słusznym spoczynku, wydobywał swe pisma i głosem pełnym siły, oraz bożego namaszczenia odczytywał słuchaczom zdania i myśli świętych, Ojców Kościoła o śmierci, o życiu pozagrobowym, o cierpieniach dusz sprawiedliwych, czasowo pozbawionych szczęścia oglądania Boga.

Pod wpływem jego natchnionej mowy, rozczuleni słuchacze padali mu do nóg, składali w jego ręce szczerze obietnice modlenia się za umarłych i poświęcania za nich swoich dobrych uczynków.

W klasztorach pod wpływem jego natchnionej i uczonej mowy Zakonnicy szli razem z nim do chóru i długie godziny spędzali

na modlitwie, oraz śpiewach za dusze w czyścu cierpiące.

Głos jego sięgał i do rycerskich zamków, zawisłych na urwiskach skał, niby orle gniazda, których mieszkańcy zajęci sztuką wojenną i obroną szerokich handlowych traktów przed rozbójnikami, mało się rozumieli na rzeczach bożych i sprawach zbawienia; jednak, zazwyczaj proste i pobożne mając serca, nieustraszeni ci rycerze, chętnie chylili dumne karki w kornej modlitwie, przypominając Bogu zmarłych rodziców, oraz poległych w krwawych utarczkach współtowarzyszów.

Cichy brat Klodoald wkrótce zasłynął na starożytnej ziemi Gallów, jako opiekun apostoła dusz czyścowych, którą to nazwą słusznie obdarzył go lud. Po długiej, siwej brodzie, poznawano go wszędzie. Okrągłych lat trzydzieści, pełnych znoju i utrudzenia, spędził Klodoald, przebiegając, bez dłuższego odpoczynku, najdrobniejsze miejscowości dzisiejszej Francji. Blisko stuletnim będąc już starcem, ledwie powłócząc za sobą nogami z osłabienia, pewnego zimowego wieczora, padł Klodoald wyczerpany u klasztornej furty, w okolicach Renu. Niemiał biedactwo już mocy silniejszym kołatanem, dać znać o sobie mieszkańcom klasztoru, pozostał więc nieruchomy na zmarzniętej ziemi, gdzie go niebawem śnieg, grubemi padając tej nocy płatami, ledwie nie pokrył żywego białym śmier-

telnym całunem. Zrozumiał wówczas, że nadchodzi jego ostatnia godzina; całując więc nieustannie krzyż, jaki nosił zawsze ukryty na piersiach pod grubem suknem swego habitu, żegnał świat czułemi słowami Jezus, Marya, Józef, oczekując spokojnie śmierci.

*

*

*

Jasne światło, niby południowe słońce i tysiące niebiańskich głosów, śpiewających radośnie, nagle zbudziły uspionych zakonników klasztoru, przed którym konał Klodoald. Zdziwieni oraz przestraszeni ojcowie szybko zerwawszy się z posłania, jęli szukać przyczyny niepojętego dla nich zjawiska. Odnalezienie na pół skrzepłego brata Klodoalda, który leżał tuż za murami klasztoru, wytłomaczyło im wszystko.

— Patrzcie, oto apostoł czyśca! zawołali zakonnicy padając na kolana. Radosne głosy, któreśmy słyszeli były to hymny uwielbienia wybranych dusz, którym on niebo swoją otworzył modlitwą. — Pan z nami! Błogosławmy Bogu!

Umierający Klodoald, zanim ostatnie wydał tchnienie, pobłogosławił jeszcze raz otaczających go zakonników i rzekł:

Bracia... moje dzieci... nie zapominajcie o duszach czyścowych!... dajcie mi słowo, że będziecie za nie ustawicznie się modlili.

— Przysięgamy, zawołali z płaczem zakonnicy.

Promień radości oświecił na chwilę żółtą i zwiędłą twarz Klodoalda; słabym, przerywanym głosem, wskazując wzrokiem na swoje rękopisy, dodał:

Tam... mój skarb... czytajcie... rozmyślajcie... on wam ułatwi pracę nad zbawieniem dusz wielu. Świątobliwy zakonnik słodko zamknął oczy i zgasł spokojnie jak gaśnie lampa pozbawiona oleju. Dusza jego uwolniona z więzów ciała, poszła prosto do nieba; zaprowadziły ją tam miliony zbawionych za jego przyczyną dusz po dobrze zasłużoną nagrodę.

Dziecięca dusza w czyście.

Dzieci bardzo często popełniają winy, nie przywiązując do nich żadnego znaczenia. Jednak bez względu na wiek, skoro tylko doszły do rozumu, muszą odpokutować za nie w czyście, o ile tego nie zdołały uczynić na ziemi. Oto przykład, jaki nam pozostawiły dzieje pierwszych wieków Kościoła. Sławna męczennica św. Perpetua, będąc uwięzioną w Kartaginie, gdzie wtrąciło ją rozpoczęte prześladowanie chrześcijan, za panowania Septymiusza Sewera w r. 205, miała widzenie, w którym jej młody, niedawno zmarły brat — Dinokrates — upominał się o jej pomoc w modlitwach.

„W parę dni po sądowym przesłuchaniu, opowiada święta, trwaliśmy wszyscy, uwięzieni chrześcijanie, na modlitwie; w tem przyszło mi na myśl imię Dinokratesa i to w tak szczególny sposób wraziło się w moją pamięć, że formalnie przeszkadzało mi w modlitwie. Wspomnienie jego nieszczęścia zasmuciło mnie bardzo i zrozumiałam wówczas, iż moją powinnością jest modlić się za niego tymwięcej, że moja ofiara dla imienia Chrystusowego dawała mi pewność, że będę wysłuchaną. Rozpoczęłam więc z wielką żarliwością modlić się do Boga i tejże nocy miałam następujące widzenie:

„Ujrzałam Dinokratesa, jak wychodził z ciemnicy, zostawiając za sobą kilkanaście jeszcze innych osób. Znać było, że gorączka go trawiła, a pragnienie szarpało mu wnętrzności. Twarzyczkę miał brudną, zmęczoną, a na policzku dojrzałam ślady strasznego wrzodu, który był przyczyną jego śmierci.

„Dinokrates był mi bratem według ciała.

„Straciliśmy go w siódmym roku jego życia z powodu rakowatej rany na twarzy, która wzbudzała wstręt a zarazem politowanie u wszystkich. Za niego właśnie modliłam się. Lecz dzieliła nas przepaść tak wielka, że ani on do mnie, ani ja do niego zbliżyć się nie mogłam. W miejscu, gdzie przebywało dziecko, widziałam studnię, napelnioną wodą po brzegi. Dinokrates wspinał się na palcach,

jakgdyby chciał ugasić pragnienie. Z mej strony boleśnie mi było patrzeć na ten zbiornik wody i na bezskuteczne usiłowania mojego braciszka.

„Obudziłam się i zrozumiałam wtenczas, że mój brat jeszcze cierpi. Miałam jednak nadzieję, że będę mogła ulżyć jego cierpieniom. Nieustawałam więc dzień i noc w zanoszeniu gorących prośb za moim kochanym braciszkiem do Boga, łącząc te modły ze łzami. Tak się modliłam aż do chwili przeniesienia nas do więzienia, z którego już wprost poprowadzić nas mają do cyrku wojskowego, gdzie mamy umrzeć w rocznicę obwołania Gety Cezarem.

„Gdy nas tam trzymano okutych w kajdanych, znowu miałam widzenie:

„Miejsce, tak ciemne przedtem widziałam obecnie jaśniejące nadzwyczajnym blaskiem. Sam Dinokrates, wspaniale przebrany, odznaczał się zdrowiem, czystością i krasą, a stojąc u brzegu studni, z łatwością czerpał wodę. Obudziłam się i poznałam, że nowe to widzenie miało na celu wskazać mi, że moje modlitwy przyniosły mu ulgę w cierpieniach. Akta męczeńskie św. Perpetui.

Legenda o karze czyścowej króla Dogoberta.

Pielgrzymi, udający się rok rocznie do Jeruzolimy, przepływając około brzegów Sycy-

lii, witają zdaleka ziejący ogniem i dymem wulkan Stromboli, którego ogniste głębiny, jak mówią stare legendy, służą za miejsce oczyszczania dusz zmarłych. Wysepka, jaką utworzyły wybuchy wulkaniczne i szeroko rozlane strumienie lawy, stała się ulubionem miejscem pustelników, synów św. Pawła i Antoniego, którzy, w swych pismach rzeczywiście niezmiernie cenne zostawili świadectwa, tyżące się cierpień dusz czyścowych.

Najstarszy dokument sięga siódnego stulecia, a zatem czasów króla Francyi Dagoberta.

Biskup z Poitiers Ansoald powracał z Ziemi Świętej. Straszna burza spotkała pobożnego prałata przy brzegach Sycylii. Ratując życie, cała załoga statku zmuszoną była zatrzymać się na małej wysepce Stromboli, gdzie spotkano samotnego pustelnika, żyjącego w poście i umartwieniu, zdala od świata. Biskup Ansoald jął z nim rozmawiać o Francyi, o swej diecezyi i wreszcie w rozmowie wspomniano o królu.

— Zapewnie ksiądz biskup nie wie, opuściwszy kraj kilka miesięcy temu, rzekł pustelnik, że król ten nie żyje?

Biskup, nadzwyczajne okazał zdziwienie, usłyszawszy tę wiadomość, pustelnik, zaś chcąc przekonać prałata, opowiedział mu widzenie, jakie miał w tych czasach.

— Kilka tygodni temu pewnego ranka, będąc niezmiernie zmęczony długiem nocnem czuwaniem na modlitwie, jał opowiadać starzec, zdrzemnąłem się chwilkę; nagle ujrzałem przed oczami czcigodną postać starca, który, ujawszy mię za ramie, obudził mnie ze snu, wołając: „Wstań prędko i rozpocznij się modlić za dusze króla Dagoberta, która stanęła dziś przed strasznym sądem Boga.“ Powstałem zaraz, a rozpoczynając modlić się, ujrzałem na wzburzonych falach Śródziemnego morza łódkę, w której siedziało kilkunastu diabłów, mając pośrodku króla Dagoberta. Statek zmierzał ku brzegom wulkanicznej Stromboli, skąd wydobywały się potoki gorącej lawy i buchające ogniem kłępy dymu; nieszczęśliwy król, bity, popychany, mordowany na wszystkie sposoby, jęcząc, przywoływał pomocy świętych patronów Francyi, Dyonizego, Maurycego i Marcina, błagając ich, aby przez pamięć na wspaniałe świątynie, jakie ku ich czci za życia wystawił, ratowali go w tych strasznym okolicznościach. Za chwilę, z nieba pokrytego chmurami, padła błyskawica, rozeгнаła szatanów, a natomiast dostrzegłem jaśniejących chwałą wybranych trzech świętych, których przyczyny wzywał nieszczęśliwy król: „Ach! ktokolwiek jesteście, zawołał pokornym głosem Dagobert, ratujcie mnie!—” My dwaj jesteśmy męczennicy Dyonizy i Maurycy, ten trzeci to biskup Marcin Turoneński. — Po-

nieważ wzywałeś naszej pomocy, a za życia byłeś nam wiernym sługą, przybywamy na twoje prośby, aby cię wyrwać z rąk szatanów i zaprowadzić do miejsca wiecznej szczęśliwości.“ Jednocześnie unieśli duszę Dagoberta do nieba śpiewając:

„Błogosławiony ten, któregoś raczył wybrać Panie; będzie on wiecznie mieszkał w twych przybytkach, przepętniony szczęściem twego domu“.

Na tem się skończyło opowiadanie pustelnika.

Ansoald, wróciwszy w krótkim czasie do stolicy swej dyecezyi, opowiedział wiernym w Poitiers wszystko, co słyszał od św. pustelnika, którego dzień widzenia zgadzał się najzupełniej z datą śmierci króla. Lud, rozczulony taką wiadomością, wyrył na pamiątkę treść opowiadania biskupa na marmurowej tablicy, kryjącej śmiertelne szczątki króla Dagoberta.

Rzeczywistość pozagrobowego życia według świadectw świętych.

Hrabina de Strafford, przed powrotem z wyznania protestanckiego na łono Kościoła katolickiego, często miała sposobność widywania najprzewielebniejszego księdza de la Mothe, biskupa z Amiens. Rozmowy, jakie z nim

prowadziła, niezmierne wrażenie czyniły na tę zacną panią.

Najwięcej jednak rozculiło hrabinę kazanie księdza biskupa, wypowiedziane u Urszulanek w Amiens w dzień św. Jana Chrzciciela. Od tej chwili uczuła w sercu gorące i stateczne pragnienie aby mogła czuć i wierzyć tak, jak ten kaznodzieja, którego słowa zawładnęły jej duszą.

Jednak miała jeszcze niektóre wątpliwości co do ofiary mszy św. i czyśca; przybyła więc do świętego biskupa, prosząc o ostateczne rozstrzygnięcie tych dwóch artykułów wiary, dzielących ją jeszcze od nauki Kościoła powszechnego. Biskup, tym razem niechciał z nią dysputować, ani zwalczać wprost jej uprzedzeń, użył więc następującego sposobu:

— Hrabina niewątpliwie zna osobiście, rzekł biskup, protestanckiego biskupa w Londynie; masz pani do niego zaufanie, zatem proszę bardzo z następującą propozycją odnieść się do niego: „Biskup z Amiens powiedział mi pewną rzecz, która mnie bardzo zadziwiła, mianowicie: że, jeżeli Wasza Biskupia Mość może zasadnie zaprzeczyć, że święty Augustyn odprawiał mszę św. i modlił się za umarłych, w szczególności za własną matkę, to on gotów przyjąć protestancką wiarę.“

Hrabina poszła za radą biskupa de la Mothe i napisała o tem do swego biskupa. Bi-

skup z Londynu nie odpisał, zadawałniając ciekawość pani Strafford ustną odpowiedzią, daną osobie, która doręczyła list z polecenia Hrabiny. „Najoczywiściej, rzekł biskup angikański, pani Strafford oddycha zaraźliwym powietrzem katolicyzmu, stąd, niewątpliwie, to, co ja mogę jej odpisać w danej kwestyi nie zaradzi złemu...” Milczenie człowieka w tak ważnej materyi, który posiadał zupełne zaufanie pani de Strafford, musiało głęboko ją zastanowić i skłonić do przyspieszenia stanowczego kroku.

Wkrótce uczyniła ona wyznanie katolickiej wiary w ręce księdza biskupa z Amiens.

* * *

Przytaczam na tem miejscu wspomniany ustęp z „Wyznań” św. Augustyna, o który potraçał ksiądz de la Mothe: „Pewnego dnia moja matka czuła się bardzo osłabioną i niebawem straciła przytomność; podążyliśmy wszyscy do niej, lecz ona, odzyskawszy zmysły, rzuciła wzrokiem dokoła i poznała mnie i mego brata; zwróciła się więc do nas ze skargą w głosie: „Tutaj pozostawicie waszą matkę?” Połykając łzy żalu, nie miałem siły zdobyć się na odpowiedź. Mój brat wyrzekł parę słów pociechy, mówiąc, iż ufa, że matka będzie miała szczęście spoczywać w rodzinnej ziemi. Na to, Monika, spojrziała na

brata ogromnie smutno, jakby chciała dać poznać, że zrozumiała jego myśl, zwracając gąsający wzrok na mnie rzekła: „Słuchaj, co on mówi!“ Za chwilę do nas obydwóch obróciła się ze słowami: „Pochowajcie to nędzne ciało, gdzie się wam podoba; nie zadawajcie sobie żadnego trudu. O jedno tylko was proszę, to jest, gdziekolwiek będziecie, pamiętajcie o mnie przed ołtarzem Boga.“

I święty Doktor dodaje:

„Teraz, gdy minęło pierwsze wrażenie bólu, któremu skądinąd można zarzucić uczucia nadto tkliwe i ludzkie, będę ci oddawał, Pannie, imieniem twej wiernej służebnicy najwyższą cześć i chwałę i płakać będę przed tobą, już nie łzami ciała, ale wylewać będę łzy ducha, jęczącego z bólu na myśl o losie dusz, które w Adamie zgrzeszyły. Chociaż matka moja ożyła w Jezusie Chrystusie, żyjąc na ziemi pragnęła godnie oddawać chwałę twemu imieniu żywą wiarą, czystością swych rąk, jednak nie śmiem twierdzić, że od dnia w którym odrodziłeś ją w sakramencie chrztu, żadne słowo, przeciwne twej woli, nie wyszło z jej ust. Biada najświętszemu życiu, jeśli zapragniesz je sądzić bez współudziału twego miłosierdzia! Ponieważ wiem, że nie zawsze, chcesz o Boże, dociekać przewinień naszych, przeto mam stateczną ufność, że matka moja znalazła przed oblicznością twoją miłosierne uwzględnienie.

„A więc, o Boże mego serca, chwała moja i życie moje! zostawiam na boku dobre uczynki mej matki, których wspomnienie słusznie mnie raduje, a błagam cię tylko o przebaczenie jej grzechów. Wysłuchaj mnie za przyczyną krwawych ran tego, który umarł za nas na haniebnem drzewie Krzyża, a obecnie siedząc po twojej prawicy, wstawia się nieustannie za nami do ciebie.

„Wiesz, że ona stale w życiu miłosierną była i ze szczerego serca darowywała winy, oraz długi, jakie względem niej zaciągnięto, przebacz więc jej przewinienia, jeśli ciebie czemkolwiek obraziła w ciągu długich lat; które od chrztu świętego w chrześcijańskiej przeżyła wierze. Daruj jej Panie, daruj, zaklinam cię i nie wchodź z nią w żadne sądy, albowiem twoje miłosierdzie przewyższa sprawiedliwość twoją, a według niezmiennych słów twoich, obiecałeś miłosierdzie dla miłosiernych:

„Wierzę mocno, o mój Boże, żeś jej okazał w całej pełni swoją niezglębioną litość, przyjmij więc wzamian hołd i uczucia najwyższej wdzięczności. Wspomnij, że twoja służebnica, przechodząc do lepszego życia, nie myślała o ciele, ani o wspaniałych pogrzebu obrzędach, lub o drogocennych ciała namaszczeniach; nie żądała pięknych grobowców, nie prosiła nawet, aby złożono jej ciało w rodzinnym grobie, jaki sama wybudowała

w Tagaście; upominała się tylko, abyśmy o niej pamiętali przed twoim ołtarzem w tajemnicy, w której ona za życia co dzień uczestniczyła, wiedząc dobrze, że w najświętszej Ofierze przelewaną bywa Krew, która jedynie zdolną jest zmazać fatalne piętno naszego postępienia. „Niechże więc odpoczywa w pokoju razem ze swym mężem, oblubieńcem, któremu równie w dziewiczych młodości uniesieniach, jak w smutku i tęsknocie wdowieństwa, wiernej dochowała pamięci; wszak ona jego sługą i niewolnicą dobrowolnie się stała, aby tylko tą owocną cierpliwością, pozyskać jego duszę dla ciebie.

„A ty, Panie, Boże mój, spraw niechaj słudzy twoi, których za ojców wedle ducha uważam, niech ducha mego synowie, za dobroczyńcę których siebie poczytuję, albowiem moje serce, mój głos, moje pisma są na ich usługi, niechaj wszyscy, którzy czytać mnie będą, pamiętają o Monice twojej wiernej służebnicy i o Patryku jej mężu... Niechaj wszyscy, co żyją w zwodniczym blasku tego świata, pobożnie wspominają pamięć moich rodziców; niechaj ostatnia modlitwa mojej umierającej matki, po nad jej pragnienia, wysłuchaną będzie; pragnę zapewnić jej pomoc, nie tylko moimi lecz i modlitwami znacznej liczby osób“.

(Wyznania ks. IX roz. II-gi i następne).

|| A teraz, mając na uwadze świętość Moniki, którą nieomylny Kościół do ołtarzowej

czci podniósł, oraz tę okoliczność, że święty Augustyn pisał swe „Wyznania“ w dwadzieścia lat po śmierci matki, niewątpliwie lepiej w umyśle naszym przedstawi się nam, to co myślał ten wielki Doktor o istnieniu czyśca i surowości sądów Boga.

Widzenie świętej Teresy.

W XXXVIII rozdziale swego życia, opisuje św. Teresa następujące zdarzenia:

„Ponieważ rozpoczęłam mówić o widzeniach, dotyczących się dusz zmarłych, pragnę zapisać objawienia, jakie Bóg raczył mi udzielić względnie do niektórych umarłych. Powiadomiono mnie o śmierci zakonnika, byłego przełożonego naszej prowincyi. Znałam go dawno i wiele usług oddał mi ten dobry ojciec. Wiadomość o jego śmierci była przyczyną wielkiego dla mnie niepokoju. Jakkolwiek był to człowiek wieloma odznaczający się cnotami, lękałam się o jego zbawienie, albowiem przez dwadzieścia lat pełnił urząd przełożonego; co do mnie żywo się troskałam zwykle o tych, co rządzą duszami. Zmartwiona, poszłam do kaplicy; tam zaklinałam Pana Jezusa, aby porachował na rzecz tego zakonnika trochę dobrego, które za łaską bożą zdołałam uczynić w życiu, a brakującą resztę dopełnił ze skarbu swych nieskończonych za-

sług, oraz, aby co prędzej uwolnił miłą mi duszę z czyśca.

„Gdym się modliła o tę łaskę z całą gorącością, do jakiej zdolną byłam podnieść w tej chwili mego ducha, ujrzałam z prawej strony, jak ta dusza, wydobywszy się z głębi ziemi, uniosła się, cała rozradowana i promieniąca, ku niebu... Mimo, że ten ojciec umarł w późnym wieku przedstawił mi się w postaci trzydziestoletniego mężczyzny, jaśniejący światłem, bijącym szeroko świetlanymi promieniami. Ponieważ od miejsca, gdzie ten pobożny sługa boży zakończył życie, bardzo byłam oddaloną, szczegóły dotyczące się jego budującej śmierci, dopiero po upływie paru tygodni doszły do mojej wiadomości; wszyscy co byli świadkami zgonu tego zakonnika, podziwiali zupełną świadomość, jaką dochował do ostatniej chwili, podziwiali łączy żalu oraz uczucia pokory, wśród których oddał Bogu ducha.“

Święta Teresa w tymże rozdziale pisze:

„W klasztorze, gdzie przebywałam najdłużej, umarła dwudziestoletnia zaledwie zakonnica, przykład prawdziwej gorliwości, zamiłowania reguły, oraz wysokiej cnoty.

W krótkiem stosunkowo życiu zdążyła przecierpieć wiele. Ciężkie choroby, bolesne dolegliwości trapiły ją nieustannie, znosiła je ona z nadzwyczajnem poddaniem i cierpliwością, czem istotnie budowała zakonne sio-

stry. Na tej podstawie ani chwili nie wątpi-
łam, że zmarła poniosła z sobą więcej nawet
zasług na sąd Boga, jak tego potrzeba do
uwolnienia się od czyśca. To też, gdym odma-
wiała w chórze kanoniczne pacierze, w cztery
dni po śmierci młodej zakonnicy, ujrzałam
jej duszę, wychodzącą z ziemi, ulatującą ku
niebu.

„Zbawiciel nasz, ciągnie dalej św. Teresa,
pozwolił mi oglądać w duchu wielką liczbę
dusz; muszę jednak uczynić tę smutną uwagę,
że tylko trzy dusze widziałam, jak prosto szły
do nieba, bez chwilowego nawet zatrzymania
się w czyścu: dusza pewnego Karmelity, za-
konnika bardzo wiernie pilnującego reguły,
świętego Piotra z Alkantary i ojca Dominika-
nina Piotra Ibanez.

„Boski Mistrz pozwolił mi również przy-
patrzeć się miejscu chwały paru dusz w nie-
bie, oraz oglądać stopień ubłogosławienia, ja-
kiem się wiecznie cieszą. Wielka zachodzi
różnica między stopniami chwały błogosła-
wionych w niebie.“

Widzenie błogosławionej Maryi Małgorzaty.

Nietylko za żywych, celem uproszenia dla
nich łaski poprawy życia lub nawrócenia,
błogosławiona Małgorzata Marya poświęcała

siebie, jako miłą Bogu ofiarę, lecz często bardzo spełniała to słodkie dla niej posłannictwo, na uproszenie pomocy i ulgi duszom czyścowym. „Najświętsze Serce Jezusa, pisała ona w 1688 r. do Matki de Laumaire, pozwala często swej nędznej służce ponosić cierpienia na rzecz dusz czyścowych, celem dopomożenia im do zadosyćuczynia boskiej sprawiedliwości; wówczas cierpię mało co mniej od nich, nie znajdując odpoczynku ni we dnie ni w nocy.“

Z resztą w żywocie błogosławionej Maryi-Małgorzaty, przez nią samą pisanym, znajdujemy pociągający opis paru objawień:

„Gdy klęcząc, modliłam się przed Najświętszym Sakramentem, pisze święta, nagle stanęła przed memi oczyma osoba cała w ogniu, którego palący żar tak silnie podziałał na mnie, iż mi się zdawało na razie, że sama płomieniem goreję. Dusza ta dała mi poznać, jak straszne męki cierpi w czyścu, czem wywołała we mnie takie współczucie, iż zalałam się łzami. Powiedziała mi nadto, iż jest zakonnikiem Benedyktynem. który przez pewien czas słuchał mnie spowiedzi i zalecał częste przystępowanie do komunii świętej, za co Bóg pozwolił mu udać się do mnie z prośbą o udzielenie pomocy w jego przerażających ludzkie zmysły cierpieniach. Prosił, abym w ciągu trzech miesięcy przeznaczyła na rzecz jego wszystkie moje dobre uczynki

i cierpienia. Obiecywałam mu chętnie uczynić wszystko o co prosił, naturalnie, o ile uzyskam pozwolenie przełożonej. W końcu przyznał się, że przyczyną jego wielkich cierpień była miłość własna, nadmierne przywiązanie do ludzkiej opinii, oraz przekładanie własnych interesów nad chwałę Pana Boga... przytem okazywał, pełniąc obowiązki powołania, zbyt naturalne przywiązanie do stworzeń, co się niezmiernie Panu Bogu nie podobało.

„Niepodobieństwem jest dla mnie opowiedzieć stopień i rodzaj tych strasznych męczarni, na jakie w ciągu trzech miesięcy byłam wystawioną. Duch tego Benedyktyna nie opuszczał mnie ani na chwilę i zdawało mi się, że go widzę całego w ogniu, co mi sprawiało tak wielką boleść, iż byłam zmuszoną jęczeć i płakać prawie bezustanku. Moja przełożona, kierowana współczuciem, pozwalała mi na ciężką pokutę i sama nakładała je na mnie, zalecając szczególnie dyscyplinę. Pokuty te i z nich płynące zewnętrzne cierpienia, jakie polecano mi ponosić z miłości bliźniego, pomagały bardzo duszom czyśćcowym.

„Po upływie trzech miesięcy ujrzałem go zupełnie w innym stanie: cały rozpromieniony, pełen chwały i jasności szedł do Boga po wieczną nagrodę a, dziękując mi z wielką wdzięcznością, obiecał wstawiać się za mną

przed Bogiem, Od tej chwili ustały moje cierpienia.

„Innym razem zobaczyłam zakonnicę zmarłą już oddawna, która oświadczyła mi, że cierpi bardzo w czyściecu, a nadto, że Bóg w nieopisany sposób zwiększył jej boleść, ukazawszy duszę bliskiej jej krewnej, potępioną w piekle...

„Z taką gwałtownością i naciskiem domagała się dusza tej zakonnicy pomocy odemnie, że literalnie chwilki nie miałam pokoju; mówiła mi wciąż: „Proś Boga za mną, ofiaruj mu twoje cierpienia, które w połączeniu z męką Pana Jezusa, przyniosą ulgę moim cierpieniom. Oddaj mi wszystkie twoje dobre uczynki, jakie wypełnisz do pierwszego piątku m. maja, w którym to dniu przyjmiesz komunię św. na moją intencję.“ Spełniłam wszystko, za pozwoleniem przełożonej, czego żądała odemnie nieszczęśliwa dusza. Aż wreszcie moje cierpienia nad wyraz wzrosły. Pod naciskiem tych niepojętych w sile dolegliwości nie znajdowałam ani ulgi ani pokoju; doszło wreszcie do tego stopnia, że, kładąc się do łóżka zdawało mi się, iż widzę biedną zakonnicę, stojącą około siebie i słyszę słowa: „Ty leżysz wygodnie w łóżku, przypatrz się mej ognistej pościeli, na której znoszę niewypowiedziane męki.“

„I Bóg dał, że w duchu zobaczyłam to straszne posłanie; ilekroć razy padnie mi to na myśl drzę jeszcze z przestachu.

„Największy ból, mówiła, sprawia mi ro-zrywanie serca żelaznymi ognistymi hakami, jako kara za myśli i słowa szemrzące i krytykujące moich przełożonych; mój język toczą robaki na zadośćuczynienie za moje uchybie-nia przeciwko miłości bliźniego; a za nie-wstrzemięźliwość w języku, patrz jak mam poranione usta. Ach! jakżeżbym pragnęła, aby wszystkie dusze, poświęcone Bogu mogły się przypatrzeć mojej męce! Niewątpliwie strzegłyby się pilnie przed wadami, których odpokutowanie tyle cierpień kosztuje. Jeden dzień w doskonałem milczeniu spędzony przez was, miłe memu sercu zakonne siostry, ule-czyłby rany moich ust. Drugi dzień poświę-cony przez was praktyce doskonałej miłości bliźniego, bez popełnienia najmniejszej winy przeciwko tej cnocie, uleczy mój język. Gdy-byście wreszcie trzeci dzień przeżyły bez naj-mniejszego szemrania przeciwko osobie wa-szej przełożonej, wnet moje serce zostałoby ukojone.“

„Stosownie do przyrzeczenia ofiarowałam komunię św. za tę biedną duszę; oznajmiła mi ona wkrótce, że jej okrutne męki w znacz-nym stopniu się zmniejszyły, jednak długie czasy przebywać musi w czystu dla odcier-

pienia kary, przeznaczonej duszom leniwym w służbie Pana Boga.

Widzenie Maryi Lataste.

W naszych czasach Marya Lataste, zakonnica, będąc doskonale ugruntowaną w cnocie, pozostawała w ciągłym połączeniu ze światem duchów.

Gdy odbywała zakonną próbę, tak zwany postulat, w parę tygodni po przybyciu do zgromadzenia, ukazała się jej dusza z czyśca, w której ona poznała, jedną ze zmarłych zakonnic.

Przytaczamy dosłowne opowiadanie o tem zdarzeniu przełożonej klasztoru:

„Nie chciałam uwierzyć w rzeczywistość wypadku sądząc, że Lataste prawdopodobnie uległa zwodniczej wyobraźni. Ona zaś pokornie zamilczała i bynajmniej nie usiłowała przekonać mnie o prawdzie swoich słów.

— Zapytałam jej, jak wyglądała osoba, o której siostra mówisz, żeś ją widziała?

Postulantka z taką dokładnością opisała mi najdrobniejsze szczegóły dotyczące się rysów i całej zewnętrznej postaci, że na podstawie tych danych, od razu poznałam jedną z naszych sióstr, która, budując nas wszystkie przykładem świętego życia, umarła parę tygodni przed wstąpieniem siostry Lataste do

naszego domu. Nie wymówiłam jednak jej nazwiska.

— Czy ta dusza, pytałem dalej, dała siostrze jakiekolwiek zlecenie?

— Oto jej słowa, odpowiedziała Marya Lataste: „*Jestem ta, którą wśród was nazywają Matką E. de B.*.. (właśnie ją poznałam). *Bóg w swej dobroci wysłał mnie do ciebie, Maryo; ty możesz modlitwą złagodzić moje cierpienia, oraz skrócić ich czas. Nie mogę cieszyć się jeszcze wiecznem ubłogostawieniem, raz z powodu pewnego zaniedbania się w praktykowaniu miłości Pana Boga, co jest wielkiem nieszczęściem, zwłaszcza dla zakonnej duszy, następnie dla ostrego i przykrego obchodzenia się z niższemi odemnie osobami; niestety nadto raniłam w życiu cnotę miłości bliźniego...*

„— Nie mogę sobie przypomnieć trzeciej przyczyny, ciągnęła dalej siostra Lataste. Zdaje mi się, że głównem i jedynem cierpieniem tej biednej duszy, było niezmierne pragnienie oglądania Pana Boga.

„— Dowiedziałam się, dodała siostra Lataste, że archanioł Michał przychodzi jej wielce z pomocą, oraz że wysoki stopień chwały i wyróżniające miejsce, jakie ma zajmować w niebie, wymagają pewnego rodzaju doskonałego oczyszczenia.“

Otóż w papierach pozostałych po zmarłej zakonnicy, odnaleziono zapewnienie uczynio-

ne w formie ślubu, mocą którego obowiązywała się ona w każdej okoliczności życia sięgać najwyższego stopnia doskonałości i stale postępować w obecności Pana Boga i działać zawsze jedynie z miłości i dla miłości Pana Boga. Ta obietnica, zdradzająca zarazem wielką gotowość serca tej, co ją złożyła, oraz stopień wysokiej świętości, do jakiego powoływał ją Bóg, usprawiedliwia pod pewnym względem rodzaj wynagradzającego oczyszczania wspomnianej duszy, które bezwarunkowo wydaje się być zbyt surowe dla zwykłych i pospolitych niedokładności w cnocie.

Marya Lataste, kończąc za mojem pozwoleniem opowiadanie, pisze przełożona imieniem ś. p. Matki B... prosiła mię o nakazanie całemu zgromadzeniu zachowywania w ciągu dziesięciu dni wyjątkowego milczenia, oraz o praktykowanie cnoty miłości bliźniego. Bezwzględnie poleciłam spełnienie tego, o co mię proszono.

„W parę dni nieboszczka pokazała się znowu pocziwej Siostrzyczce w chwili przyjmowania komunii św.; tym razem jaśniała pełnością chwały i szczerze dziękowała Maryi Lataste. Odtąd mówiła mi ona często: Ach! jak tę duszę ukochał Bóg! jakież wysokie miejsce zajmuje w niebie!“

Życie i prace Maryi Lataste, tom I stronica 98.

Rzeczywistość pozagrobowego życia stwierdza świadectwo naszego serca.

Protestancka nauka, zaprzeczając istnienie czyśca, nie tylko występuje przeciwko Pismu św. i wierze powszechnego Kościoła, lecz nadto mrozi jednocześnie niezwalczoną potrzebę ludzkiego serca, odmawiając mu słuszości modlenia się za tych, którzy już przeszli.

„Znałem, pisze bardzo pobożny autor, pewnego protestanta, którego potrzeba wiary w czyściec uczyniła katolikiem. Stracił on nagle, podczas weselnej zabawy, ukochanego brata; smutne wspomnienie tego gwałtownego przejścia z uczty do trumny, na chwilę nie opuszczało niepocieszonego po stracie człowieka. Jego serce odczuwało gwałtowną potrzebę uspokojenia się o losie duszy brata; rozumiał dobrze jakiej cnoty i niewinności wymaga niebo, lecz w jego wierze nie było pośredniej drogi między niepokalaną jasnością niebios i beznadziejną głębiną piekła. Dla rozerwania gniotących duszę bolesnych myśli zalecono młodemu Szkotowi dużo podróżować. Spotkałem się więc z nim na statku; niebawem wiele wspólnych zapatrywań, tajnych potrzeb naszych serc, zbliżyło nas do siebie wzajemnie. Na lądzie stanęliśmy w je-

dnym hotelu. Po paru dniach opowiedział mi on o swoim bezgranicznym smutku, który rzucił taki cień na jego młode lata. Mówił o śmierci brata i o niepokoju, jaki mu sprawiają pozagrobowe losy istoty, którą tak bardzo ukochał w życiu.

W parę miesięcy po naszym rozstaniu dostałem od niego następujący list: „Dzisiejszy dzień Kościół wasz poświęca pamięci umarłych. Miłość dla brata doprowadza mnie powoli do publicznego wyznania waszej wiary; według niej bowiem można z ziemi śłać pomoc душom drogich nam osób; wasze modlitwy zdejmują z grobów przerażającą pieczęć ciszy i milczenia, jakie im śmierć nakłada. Wy całkowicie nie przerywacie stosunków z tymi, co opuścili ziemię; między dwoma ostatecznymi końcami nieba i piekła, Bóg wam objawił, że jest miejsce czasowego oczyszczenia. Być może mój brat tam się znajduje... zostanę katolikiem, aby go stamtąd uwolnić, znaleźć dla siebie pociechę na ziemi, ulżyć ciężarowi, co mi duszę przygniata; czuję, że gdy rozpocznę modlić się z wiarą, ten wielki kamień beznadziejnego smutku spadnie mi z serca.“ I dopełnił swego postanowienia. (Chrześcijańskie święta p. Hr. de Walsh).

* * *

Dogmata katolickiej wiary korzeniami swemi sięgają głębin ludzkiego serca, pisał

de Maistre. Tem się tłumaczy, że posiadamy naturalną wrodzoną skłonność do poddawania naszego rozumu pod władzę pewnych praw Objawienia. Do tej liczby bezwarunkowo, należy artykuł wiary o czyśćcu. Bezbożni nawet ludzie, które się wyrzekli wszelkiej wiary i wzgardzili religijnem uczuciem, przyznają się ze szczerością, że w tych ciężkich okolicznościach śmierci, nie mogą się powstrzymać od tajonej modlitwy, która się im z serca wydiera i goni za ukochaną osobą. Najoczywistszy dowód, że Bóg sam wlał to uczucie w serce człowieka. Cóż, istotnie, może być słodsze dla naszego serca, jak ta wiara, wiążąca nas z pamięcią drogich nam zmarłych?

Okazuje się, że jest prawdziwą potrzebą naszego serca wierzyć, że, po za brzegami naszych czasów, istnieje miejsce wynagradzającej pokuty, które nie jest piekłem, lecz drogą do nieba. Jest to potrzebą naszego serca, wierzyć, iż nasze modlitwy przynoszą ulgę duszom krewnych i przyjaciół, jak również czuć, że nas z kolei, gdy nadejdzie godzina, inni również modlitwą wspomagać będą.

Cóżto za słodka i pełna pociechy jest myśl modlić się za umarłych!

„O boska nauko katolickiej wiary! woła pewien uczony biskup, jesteś istotnie prawdziwą religią serca i lubię przypatrywać się jak ty zwolna, matczyną ręką, zdzierasz ciemne zasłony naszej żałoby, boską nadzieją opro-

mieniasz żale, ściesz kwiatami miłości smutną drogę naszych pogrzebów!“

Doktór protestanckiej teologii Peters.

15-go Września 1882-go roku duża łódź rybacka „Miss Ellen“, należąca do przedsiębiorstwa połowu ostryg przy wyspie Guernesey, kierowana przez marynarza Barclay'a, krążyła wśród skał Duwru, rzucając od czasu do czasu sieci w miejsca, obfitujące w ostrygi. Morze, od rana dość spokojnie, z wolna poczynęło co raz gwałtowniej się ruszać; małe popielate chmurki z szybkością strzały przesuwały się po niebie; słońce świeciło, ale tak smutno i mgławo, jakby patrzyło na świat z po za ponsowej firanki; mewy niepokoiły się i, trzepocząc białymi jak śnieg skrzydłami, strząsały z lśniących grzbietów resztki wody, jaką pieniające się fale, obficie przyskajac, ustawicznie je skrapiały. W naturze, wszystko zwiastowało szybkim krokiem nadchodzącą nawałnicę — jednak rybacy trwali na stanowiskach, nie myśląc wcale przerwać roboty.

— Odważnie chłopcy! zachęcał wesoło Barclay, ryby dziś jakoś idą nam w sieci, pracujmy dalej, bo nasze dzieci głodne wołają chleba.

Rybacy milcząc, z podwójną pracowali gorączką. Chleb dla żony! dla małych dzieci,

starych rodziców, którzy nań w chacie oczekują, ach! dla takiego celu warto narazić nawet życie na niebezpieczeństwo! zresztą może silnie dmiały wiatr rozpędzi złowroźny huragan. W tem głuchy odgłos grzmotu doleciał do uszu marynarzy, zwiastując zdaleka pierwsze uderzenie piorunu.

Ludwik, Bretończyk z Plogastu, podniósł głowę.

— Panie, słyszałeś? rzekł do kierującego połowem żeglarza.

— Tak, słyszałem.

— Czy nie czas jeszcze pościągać sieci i odpłynąć do brzegu?

— Jeszcze jeden kosz musimy napęłnić— parę minut zajmie nam to czasu.

— Myślę, że będzie zapóźno — w mojej ojczyźnie mówią, że nigdy nie trzeba kusić Pana Boga.

— Święta prawda, wtrącili się do rozmowy zajęci pracą majtkowie; kto lubi niebezpieczeństwo, ginie. Czas nam, panie, czas!

— Dobrze, rzekł sternik. Złóście prędko sieci; przy pomocy bożej odpowiadam za życie każdego z was.

Sternik był członkiem katolickiej rodziny z Gwernesey. Głosem urywanym wydał on odpowiednie rozkazy i Miss-Ellen, rozwinięwszy żagle, szybko sunęła się po falistej

wodzie ku przystani, którą na północy gołem nawet okiem dojrzeć już można było.

*

*

*

Minęło pół godziny.

Morze stawało się z każdą chwilą coraz więcej gwałtowne, chociaż burza była jeszcze daleko. Miss-Ellen, płynąc z wiatrem przebyła szczęśliwie wielki Hamois i Mauve grupy podwodnych raf, których żeglarze najczęściej, lękają się, gdy Edward, syn starego sternika, całą pierśią zawołał:

— Barka w niebezpieczeństwie! ukazując palcem na mały statek zaplątany w łańcuch podwodnych skał i raf, otaczających Mały-Hamois.

— To Landseer z Plymouth, rzekł Barclay. Amatorska łódź, należąca do członków Towarzystwa Wioślarskiego.

— A widać, że są to przygodni marynarze, odpowiedział Edward. Zginą nieszczęśliwi! Czyż mogą się, ojczy, stamtąd wydostać?

— Istotnie, położenie krytyczne, mruknął stary sternik, zwany morskim wilkiem.

— Trzeba im pospieszyć na ratunek, zagadnął młody człowiek.

— Co mówisz, Edwardzie?

— Przecież, mój ojczy, nie można ich tak zostawić.

— Co do nas, wystarczy podjechać możliwie blisko i znakami dać im poznać, żeby podплыnęli do naszej łodzi; więcej uczynić byłoby szaleństwem. Sternik gwałtownym ruchem ręki skrzył barke rudłem, i Miss-Ellen, zmieniając nagle kierunek, wartko popłynęła ku skałom Małego-Hamois, o którego ostre brzegi, wyjąc, rozbijały się fale.

Tymczasem Landseer ledwie sto kroków dzieliło od grzebienia podwodnych raf. Wiatr pchał ją właśnie w tę fatalną stronę; nieomylnie, za chwilę, będzie miała o skałę poprute boki. Próżno usiłowano zmienić zgubny kierunek statku, rozbite rudło przestało być czynnem. Landseer niebawem usiadła na skale, jak Niobe, nieruchoma i płacząca, bo woda zalewała jej pokład. Krzyk rozpaczliwie zmieszał się w tej chwili z ogłuszającym świstem nadchodzącej burzy.

Żeglarz Barclay i jego załoga poznali rozbitek: byli to Dr. Peters, pastor Anglikański, syn jego Wilhelm, oraz dwóch przyjaciół. Nieszczęśliwi, widząc swą zgubę, wyciągnęli błagalne ręce po ratunek ku Miss-Ellen.

— Ależ oni, ojcze, giną! zawołał Edward.

— Niestety! widzę to.

— Może jeszcze jest sposób podania im ręki.

— Jakto?

— Zarzućmy im linę ratunkową między dwoma łodziami.

Stary marynarz uczynił niedowierzający ruch głową.

— Któż tego dokona? zapytał.

— Ja—rzekł odważnie młody człowiek.

— Ależ na niechybną wystawiasz się śmierć.

— Wiem dobrze; trudno, Bóg mi pomoże.

— Nie mogę pozwolić, abys ty tam poszedł, rzekł drżącym ze wzruszenia głosem stary marynarz. Lepiej sam pójde. Jam stary, przed tobą przyszłość całego życia.

— Nie mów tak, ojcze. Jeśli kto ma paść dziś ofiarą, to ja.

Tu młody człowiek urwał rozmowę, straszna bowiem fala rozdarła w kawałki Landseer, zatapiając podróżnych.

*

*

*

Gdy bałwany wody rozplynęły się na chwilę, zobaczyli w tym nieszczęśliwym punkcie tonących, jak konwulsyjnie trzymając się rozbitych części statku, lada moment oczekiwali śmierci.

— Ratujmy ich! zawołał Edward, ratujmy!

Mimo wrodzonej odwagi stary żeglarz zdawał się wahać.

— Ci nieszczęśliwi giną! wołał Edward. Mój ojcze, zlituj się i nie opuszczaj ich!

— Możemy to życiem przepłacić, rzekł Barclay.

— Bóg nam wynagrodzi tę ofiarę.

Stary marynarz wzruszony, czule spojrzał na syna.

— On będzie prawdziwym dzieckiem morza, szepnął Barclay, biorąc ster do ręki. Barka, niby ryba, wślizgnęła się między dwie rafy, zbliżając się na sto kroków do rozbitków. Trzej z nich szczęśliwie dopłynęli do Miss-Ellen. Dr. Peters przestraszonym wzrokiem jął szukać swego syna i ujrzał go, jak trzymał się jeszcze kawałka rozbitego masztu.

— Ratujcie go! błagał pastor w rozpacz; jego jednego mam tylko na ziemi. On mi podporą, nadzieją całą, on życiem mojem. Edward już był w wodzie. W minutę przepłynął przestrzeń dzielącą go od rozbitka, już miał, go ręką dosięgnąć, gdy nieszczęśliwy, ostatkiem sił goniąc falą porwany, zniknął w wodnej przepaści. Rozdzierający krzyk i bolesne jęki ojca, podnosiły jeszcze bardziej grozę tej strasznej chwili dla załogi Miss-Ellen.

— Mój syn! mój biedny syn! wołał protestancki pastor załamując ręce.

Oczy wszystkich skierowały się ku rozbitej łodzi Landseer. Edward dał nurka.

Ojciec Barclay, blady jak ściana, mając wzrok wyteżony na zagadkowy punkt wody, milczący, nieruchomy, rzekłbyś z kamienia wykuty, wyczekiwał końca tej strasznej sceny.

Dwie minuty, niby dwa długie wieki, upłynęły, gdy Edward ukazał się na powierzchni, ale sam. Nabrawszy w płuca powietrza, zanurzył się powtórnie. Gdy wypłynął na powierzchnię wody trzymał w ręku topielca. Ten, w ostatnich konwulsjach konania, rzucał się gwałtownie, obezwładniając ruchy swego zbawcy.

Świadkowie tej okropnej sceny patrzyli niemi, osłupiali, zrozpaczeni.

Powstała ostateczna, bo śmiertelna walka między tymi dwoma młodymi ludźmi.

Edward próbował wyrwać się z kostniejących objęć, co go za sobą ciągnęły, lecz na darmo pracował; konwulsyjnie zacięte palce młodego Petersa były twardsze w tej chwili od stali. Bezwładny, wyczerpany syn sternika zrozumiał, że i dla niego wybiła ostatnia godzina; wzniosł oczy ku niebu, wyszeptał matczyne imię i poszedł na dno, wraz z ciałem człowieka, którego pragnął z taką ofiarą i młodzieńczym zapalem wyratować.

Stary żeglarz rwał sobie siwe włosy z głowy i wołał pełnym żalu i skargi głosem: — trzeba było mnie samemu iść! pocóżem go puścić!

Padł na kolana i klęcząc na środku barki zakrył brązowymi od pracy rękoma zalaną łzami twarz i głośno się modlił:

— Boże mój! Boże! ulituj się nad duszą
mojego biednego syna!

*

*

*

Patrząc na tak przerażającą scenę załoga Miss-Ellen zapomniała zupełnie o burzy. Ogłuszający huk grzmotów przypomniawszy im całą grozę niebezpieczeństwa. Morze stawiało się co raz bardziej złe; ogromne bałwany ni-
by młotem, biły łódź po bokach, rzucając ją jak łupinę w kierunku Hamois. Należało szybko uciekać, inaczej śmierć groziła wszystkim.

Stary Barclay, opanowując nadludzkim wysiłkiem swój ból, przyłożył rękę do rudla i zarządził zwrot. Tymczasem burza szalała z niezwykłą gwałtownością. Parę godzin biedna Miss-Ellen porała się z wiatrem i bałwanami, nim wreszcie dotarła do brzegu Plymouthu.

Nazajutrz morze było spokojne, jak dziecko uspięne w kołysce. Stary majtek, stojąc na brzegu, smutnem okiem patrzył hen daleko, wreszcie rzekł do stojącego obok przyjaciela.

- Ach, gdybym miał łódkę!
- Po co, rzekł towarzysz.
- Pojechałbym po ciało mego chłopaka.
- Moja tuż stoi; chcesz pojeździemy razem?

— I my za wami, krzyknęło paru poczciwych rybaków.

Barclayowi miłą była ta gotowość i ofiara towarzyszków. W ciągu paru dni nurkowie rewidowali morze w około raf, na których rozbiła się Landseer; starannie przeszukano wszystkie skały grup Hamois i Mauve, śmiertelnych jednak szczątków tych dwóch młodzieńców odnaleźć nie zdołano. Stary marynarz sam kierował poszukiwaniami. Cierpiał niewymownie, tym bardziej ciężko mu było rozstać się z myślą odszukania ciała swojego syna.

— Jego jednego miałem na ziemi, mawiał; pragnę go pochować na naszym cmentarzu w Plymouth. Będę się modlił na jego grobie i łatwiej mi przyjdzie zmódrz ból i tęsknotę.

Czasami dodawał:

— Zostawcie mnie samego; wy macie rodziny do wyżywienia. Ja będę sam szukał...

— Pozostaniemy z tobą aż do końca, odpowiadali zacni marynarze. Morski wilk ścisnął im ręce i z wdzięcznością dziękował:

— Bóg zapłać, koledzy!

Kilka tygodni upłynęło.

Pewnego dnia poszukiwania odniosły nieoczekiwany skutek. Nurek wyciągnął na powierzchnię wody dwa złączone na pół zepsute szkielety, które na razie rozeznaczyć było niepodobna. Ryby wygryzły ciało, zostały tylko

prawie same kości; strzępy ubrania ułatwiły rozróżnienie smutnych resztek młodego Edwarda i syna pastora Petersa.

Barka przyплыnęła do brzegu Plymouth'u; pastor Peters nadbiegł i złamany boleścią patrzył niemym wzrokiem na te skulone dwa ciała, nie mogąc nawet dopatrzeć się rysów syna.

— Pochowajmy ich w jednym grobie, jęknął, kiedy ich Bóg tak nierozzerwalnie połączył w śmierci.

— Jestem katolikiem, rzekł poważnie Barclay, pragnę dla syna katolickiego pogrzebu... Protestancki pastor chwilę pomyślał i odpowiedział:

— Twój syn umarł ratując mego, nie mam więc prawa narzucać mej woli. — Zgadzam się tedy — niech mój syn razem z twoim w jednym spoczywa grobie.

Rzewna żałobna ceremonia odbyła się w katolickim kościółku, w której uczestniczyli wszyscy rybacy całego pobrzeża; następnie zaniesiono ciała na cmentarz. Na grobie tych młodzieńców wystawiono granitowy krzyż, u stóp którego na tablicy widniał prócz imion i wieku następujący napis:

Przechodniu, prosz Boga, by im dał wieczny odpoczynek.

*

*

*

Upłynął rok cały.

Strata syna zdruzgotowała na zawsze ziemskie szczęście starego Barclay'a. Nieszczęśliwemu ojcu znaczną przyniosły ulgę w boleści i cierpieniu jego szczere religijne uczucia. Gdy czuł się więcej złamanym i tracił odwagę do życia, opuszczał chatę i szedł na cmentarz do grobu Edwarda; tam, długie godziny klęcząc, w swych brązowych, znieczulonych pracą, palcach, przesuwiał cicho ziarenka różańca, przywołując miłosierdzia Pańskiego dla duszy syna.

Było to źródło wielkiej dlań pociechy, a jednocześnie ogromnej nadziei. Modlitwa podtrzymywała w nim wiarę i odwagę do życia:

— Wszak zobaczę, myślał, kiedyś to dziecko, którego dziś na ziemi oplakać nie mogę. O! wtenczas będziemy mieli niczem niezamącone szczęście: modłę się za niego z ufnością bez granic, bo wiem, że Bóg jest dobry, jego miłosierdzie nieskończone!

Dr. Peters, anglikański pastor, pozbawiony pociechy, jaką daje modlitwa za umarłych, doświadczał nieopisanych moralnych katuszy. I on jak stary rybak, straciwszy syna, utracił wszystko na ziemi. Zimna i zwodnicza nauka reformowanej wiary nie była w stanie wlać balsamu pociechy do nadmiernie zranionego serca. Modlić się za dziecko — ach! on tego tak pragnie — instynktownie czuł, że mu to ulgę przyniesie w cierpieniu; lecz musiał nakazywać, choćby w imię swego urzędu mil-

czenie, rwącemu się do modlitwy własnemu sercu.

Jednego wieczora opanował jego duszę ból tak żywy, gwałtowny, że biedak nie mógł wytrzymać w mieszkaniu i jął błądzić bez celu po polu. Księżyc bladym światłem rozproszył ciemności tej nocy. Świeży powiew wiatru, dmiący od morza, orzeźwił mu czoło i jednocześnie wpłynął na uspokojenie zmęczonej cierpieniem duszy — odzyskał zwolna panowanie nad sobą. Chodził długie godziny... aż wreszcie stanął bezwiednie przy bramie katolickiego cmentarza.

— Mój syn jest tu, pomyślał, a ja nie mam odwagi uklęknąć na jego grobie! Istotnie trzeba być na to wielkim tchórzem!

Skrzypnęła jękliwie żelazna furta cmentarza, pastor wolnym krokiem zbliżał się do miejsca, gdzie leżały uszione wszystkie jego ludzkie nadzieje.

Zastał przy grobie człowieka, zatopionego w gorącej modlitwie. Był to Barclay, stary żeglarz, morskim wilkiem zwany. Nie spojrział nawet na nowo przybyłego. Cały był pochłonięty rozmową z Bogiem. Pastor, długo, długo wpatrywał się w milczeniu w tę, niby wykutą z bronzu, twarz, na której księżycowa jasność pozwalała wyczytać słodki, melancholijny wyraz zupełnego poddania się woli Boga.

— Cóż on za pociechę znajduje tutaj? zapytał sam siebie Dr. Peters. Ach! czemuż ja nie mam jego wiary!

Pochylił głowę, stał nieruchomy i myślał i marzył...

Gdy ostatnie ziarnka różańca przeszły z jednej do drugiej dłoni, Barclay powstał. Obok niego stał człowiek gorzko, jękliwie płaczący.

Poznał czcigodnego Petersa.

— Odwagi! szepnął, ściskając mu rękę, odwagi!

I odszedł, zostawiając protestanckiego pastora na pastwę bólu, oraz beznadziejnego cierpienia.

Nazajutrz, Barclay swoim zwyczajem wrócił na cmentarz. Czcigodny Peters stał przy wspólnym grobie, lecz jakiś weselszy i bardziej pogodny.

— Modliłem się za mego drogiego syna, rzekł; dziwną mi to sprawiło pociechę, nieznamy pokój opanował moją duszę. Ach! cóż to za wzniosły ten artykuł katolickiej wiary, który nakazuje modlić się za umarłych!

— A więc pomódlmy się razem na wspólnym grobie naszych synów, rzekł stary żeglarz.

— Chętnie odpowiedział Peters.

— Za łaską bożą rychło nadejdzie dzień, w którym będziemy się modlić razem przed wspólnym ołtarzem, były słowa pobożnego rybaka.

Jego wielebność Dr. Peters nic nie odpowiedział; lecz widać było, że w swych dotychczasowych przekonaniach był mocno zachwiany.

Od pamiętnej rozmowy ci dwaj zbolali ojcowie spotykali się często na cmentarzu. Po wspólnej modlitwie, rozmawiano o drogich sercu umarłych, o życiu przysłem, o czyściu, jako o miejscu pokuty i kary, a jednocześnie nadziei i miłosierdzia, gdzie dusze oczyszczają się z niedość odpokutowanych za życia win i upadków, zanim wejdą do nieba.

Pastor anglikański był to mąż prawy i posiadający zdrowy rozsądek; rozumiał jakiej niewinności potrzeba, aby dostać się do nieba, a w swej wierze nie znajdował pośredniego miejsca między jasnością nieba a potwornością piekła. Jego religia nakazuje wierzyć, że zaraz po śmierci następuje sąd boży, nagły, stanowczo rozstrzygający los duszy do nieba, albo do piekła. Ach! wówczas jego obawy stopniowo przechodziły w szal. Jego syn za życia ulegał ludzkim ułomnościom, słabostkom, których wprawdzie nie można nazwać zbrodnią, wszelako daleko mu do doskonalej czystości serca, jakiej się niebo dla swych mieszkańców domaga. Gdzie się znajduje jego dusza w tej chwili? Piekło stawalo mu w myśli ze swą nieubłaganą wiecznością; ktokolwiek tam wchodzi, zostawia poza sobą wszelką nadzieję, *lasciate ogni speranza!* jak

głosi napis przy wejściu do piekła, według nieśmiertelnego Danta.

Ale czyściec!... Nadzieja, nazawsze wypędzona z piekła, w czyścju całą stanowi ochłodę — ona tam świeci jako gwiazda zbawienia; nadto czyściec otwiera bez trudu szeroki przystęp dobrym uczynom tych, którzy się na ziemi opiekują jego mieszkańcami.

Doktor protestanckiej teologii Peters znalazł doskonale podstawowe artykuły katolickiej wiary, lecz, jako duchowny urzędnik anglikańskiego kościoła musiał bronić wstępu do własnego serca tym pocieszającym prawdom. Moralny bój, jaki się toczył w jego sercu, należał bezwarunkowo do najokrutniejszych. Z jednej strony jego własna protestancka, reformowana wiara, mówiła mu: gdy myślisz o losach duszy twego syna, pozostaje ci tylko beznadziejna *Rozpacz*; z drugiej strony, jak Chrystus, katolicyzm przemawiał doń głosem Świętych, Ojców Kościoła, Doktorów, Papieży, Soborów: ufaj, miej nadzieję w miłosierdziu Boga!

Pewnego dnia nie mógł swego bólu powstrzymać. A stało się to w cieniu grobowców katolickiego cmentarza w Plymouth. Ujął za ręką Barclaya i rzekł protestancki pastor.

— Twój syn znalazł śmierć, próbując wyratować mego syna, być może, że ty będziesz szczęśliwszym, że ty i jego, a i mnie razem

z nim, zbawisz. Wierzysz w czyściec i w skuteczność modlitw żywych za umarłych?

— Wierzę całą siłą mej zbolącej duszy, wierzę wraz z całym Kościołem katolickim, który nigdy ani na jotę nie zmienił w ciągu wieków swej wiary, odpowiedział stary żeglarz, morskim wilkiem zwany.

— Moja reformowana protestancka wiara zabrania mi w to wierzyć, rzekł uroczyście Dr. Peters. Na mojem miejscu cobys przyjacielu uczynił?

— Zostałbym bez wahania katolikiem.

— To znaczy poświęcić wygodne, niezależne utrzymanie a nawet świetną, być może, przyszłość, jaką mi w naszym kościele rokuje moje stanowisko.

— Zbawienie duszy i niebo przede wszystkim, rzekł prosto, z powagą rybak. Kto wie czy twój syn nie oczekuje z niecierpliwością katolickiej modlitwy od ciebie, by za jej pomocą dostać się do wiecznej szczęśliwości w niebie.

— A więc zostanę katolikiem, abym się mógł modlić za duszę syna, abym mógł znaleźć pociechę tu na ziemi i ulżyć ciężarowi serca, co mnie tak przygniata; mam to przekonanie, że, gdy uklęknę na tym grobie razem z tobą do wspólnej modlitwy za naszych synów, pozbędę się tego, graniczącego z rozpaczą, beznadziejnego smutku, który mi od śmierci syna dzień i noc na sercu ciąży.

W parę tygodni po tej rozmowie doktor Peters, pastor anglikańskiego kościoła, otoczony gronem najbliższych przyjaciół, uczynił publicznie w Londynie wyznanie katolickiej wiary.

Cześć i pokój umarłym.

Wypadek, jaki zamierzam opowiedzieć miał miejsce w klasztorze o. o. Kapucynów w Rzymie, znajdującym się przy placu Barberini. Ich kościół pierwszy w katolickim świecie wzniesiony został pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, za czasów Urbana VIII (1624) przez brata papieża, kardynała Franciszka Barberini, zakonnika kapucyna.

W podziemiach jednej części kościoła znajduje się krypta, rodzaj dużej kaplicy, o jednej nawie, bardzo mało dopuszczającej światła, stąd niezmiernie tajemniczo wyglądającej: jest to cmentarz klasztoru. Każdego ojca zmarłego w tym zakonnym domu składają do ziemi w ubraniu, zakrywając mu twarz kapturem, bez trumny. Zdaje się, że ziemia tego cmentarza ma szczególniejszą własność prędkiego rozkładania powierzonych jej ciał. Ponieważ przestrzeń jest mała, a klasztor bardzo liczny, przeto zachodzi potrzeba częstego opróżniania grobów. Pozostałe kości bywają składane w osobne miejsce, zwane kostnicą. Na czasce

wykopanego z grobu szkieletu zakonnika, piszą zwykle jego imię i datę śmierci; spojęte napowrót pojedyncze kości, według naturalnego składu człowieka ubierają w nową zakonną suknię i ustawiają jedne koło drugich, w niszach tej sławnej na świat całej kaplicy umarłych. Tak przybrane szkielety stanowią główny przedmiot żałobnej ozdoby tej smutnej grobowej piwnicy; nadają im zwykle postawę modlącego się, lub pogrążonego w głębokim śnie zakonnika, który w rękę trzyma przedmiot, przypominający bądź znikomość i marność tego świata, bądź też nadzieję przyszłego życia, jak krzyż, różaniec, koronkę, szkaplerz... W ostatniem zagłębieniu tej dziwnej kaplicy stosownie przybrane szkielety dwóch młodych księży Barberini podtrzymują koronę.

Powierzchnia tego olbrzymiego grobowca jest pokryta wypukłościami pojedynczych grobów, wykopanych w ziemi, których jedyną ozdobą są czarne drewniane krzyżyki z białym napisem wyrażającym imię i zwykle daty narodzin i śmierci nieboszczyka. Sklepienie i ściany całej kaplicy, suto są przybrane w różne symboliczne i przenośnego znaczenia ozdoby, wyłącznie z ludzkich kości uczynione. A więc wiszą na ścianach wieńce i girlandy, nad głową twoją spuszczają się wielkie lub mniejsze świeczniki z całym zastosowaniem do oświecenia, wzorzyste upiększenia i prze-

różne stylowe ornamentacje, wreszcie ołtarze zrobione są wyłącznie z ludzkich kości, czaszek i piszczeli. U wrót podziemia zachęca cię szkielet do przeżegnania się wodą święconą; nieco dalej drugi trzyma w ręku białą puszkę, gotów przyjąć twoją jałmużnę.

Podczas oktawy zadusznego dnia grobowa ta kaplica zwykle bywa rzęsiście oświetlona i otwarta na przyjęcie licznie odwiedzających ją pobożnych, a więcej jeszcze szukających wrażeń, osób. Zakonnicy w tym czasie zbierają jałmużnę na odprawianie mszy św. za dusze czyścowe. Oświetlenie tej kaplicy zwykle bywało fantastyczne, obrachowane na wywołanie stosownego na duszy wrażenia; miało ono na celu, nie powiem, przestraszenie, ale w każdym razie żywe przypomnienie tych wielkich prawd i nauk, jakich śmierć nam nie szczędzi.

Było to w roku 1864 w czasie, gdy wojska francuskie na krótki czas zajęły Rzym. Część szwadronu huzarów stanęła na kwaterze w klasztorze Kapucynów; zajęli najlepszą jego część, oddzieloną od podziemnej krypty małym ogródkiem. Widok kaplicy umarłych, podniecając wprawdzie ciekawość żołnierzy, nie miał jednak daru, ani siły poruszenia ich serc; niektórzy nawet oficerowie drwili i wyśmiewali się. Jeden z tych nieszczęśliwych, wszedł do wspomnianej kaplicy podczas oktawy zadusznego dnia i, zamiast uczucia smutku

i żaloby, choćby wreszcie prostego uszanowania, należnego zmarłym, jał żartować, wydrwiwać, na niesmaczne puszczać się dowcipy. Ujrzawszy czaszkę, umocowaną w jednej z nisz, począł brzydko i niewstydnie do niej przemawiać, dymem fajki okapcać, kładł palce w oczne zagłębienia, posunął się nawet do zpoliczkiwania bezbronnej czaszki. Nagle, po tym wcale nie rycerskim postępku, zamilkł i szybko opuścił grobowce...

Przekupka, dzielna i mądra chrześcijanka, mająca z powodu bliskości swego kramu ciągle z wojskiem stosunki, widząc biednego oficerka tak bardzo zmienionego na twarzy, przybliżyła się doń i patrząc mu badawczo w oczy rzekła:

— Boże! co się Panu stało? co za przyczyna, żeś się w jednej chwili tak strasznie zmienił?

— Bądź pani cicho: duszę się, goreję, ognie latają mi po całym ciele i gardłem wychodzą, mam ich pełne usta... proszę patrzeć... oglądać...

Mówiąc to huzar otworzył usta, które były istotnie również jak i gardło, pokryte przerażającymi krostami o charakterze zapalnym, wydzielające z siebie żółtawą cuchnącą materię.

Wreszcie opowiedział pocziwej kobiecie znane nam, bohaterskie swe czyny, w kaplicy umarłych.

— Zresztą wiesz pan lepiej odemnie, że dany policzek, szczególnie w stanie wojskowym, wymaga koniecznie zadosyćuczynienia; wprowadzie zpoliczkowanie umarłego nie jest przewidziane w wojskowej karności i ustawach, jednak sądzę, że to musi być przed Bogiem bardzo ciężki występki.

Huzar czuł się pobitym mądrymi słowami przekupki. Trzy dni milczał i cierpiał, lękając się ludzkich względów; w końcu zwyciężony dokuczającym mu bólem jamy ustnej, może pchany wyrzutami sumienia, poszedł w towarzystwie przekupki, która postanowiła go nawrócić, na mszę św.; następnie zeszli do cmentarnego podziemia, tam oficer ukląkł przed szkieletem zakonnika, prosząc o przebaczenie. A że tylko pierwszy krok dużo kosztuje, więc przy łasce bożej jał płakać rzewnie, błagać i modlić się o zdrowie. Za chwilę zawołał: dziękuję! i upadł twarzą na ziemię. O cudzie! Został uzdrowionym! Jego dokuczliwy ból znikł nagle bez śladu w równie tajemniczy i niewytłomaczony sposób, w jaki się objawił, bez żadnej leczniczej przyczyny. Huzar powstał nareszcie, trzęsąc się cały ze wzruszenia, podszedł do szkieletu i pełen uszanowania, złożył pocałunek na czole czaszki, którą parę dni temu zbezcześcił.

— Wysłuchajmy drugiej mszy św. na podziękowanie, rzekł szlochając do osłupiałej ze wzruszenia kramarki. Wyraz twarzy oficera

wielce się zmienił, cień słodczy i pokoju zlagodzić jego rysy.

— A więc! mój synu, rzekła pobożna niewiasta, dzięki Panu Jezusowi, za przyczyną dusz czyśćcowych poprawiłeś się. Odtąd spodziewam się będziesz gorąco kochał Pana Boga i uragać nie będziesz pamięci umarłych.

— Wytłomaczę ci zaraz, moja droga pani, jakie zmiany zaszły w mej duszy. Poprośtu i krótko ci powiem, że podam się o uwolnienie ze służby wojskowej i wstąpię do regimentu, którego nazywają kapucynami. Zdaje mi się, że od nich pewniejsza droga do nieba, aniżeli od huzarów... Proszę cię tylko, nie zdradź się przed nikim z tem, co wiesz o mnie i zachowaj sekret do czasu.

Zadużo żądał nawrócony oficer od swojej opiekunki — kramarki; wszystko dosłownie pod sekretem i to najwięcej zaufanym przyjaciółkom opowiedziała zaraz dobra przekupka: tegoż samego dnia dowiedział się o nim gwardyan klasztoru, a wkrótce wypadek ten doszedł do uszu całego szwadronu, czyniąc wielce hałasu w stolicy papieży. Wyobrażam sobie, że żartownisie oficerowie tego oddziału musieli się trochę zastanowić, choćby zmarszczyć brwi na chwilę i odczuć żdźbło wyrzutów sumienia z powodu żartów... bardzo niewczesnych, oraz przypomnieć sobie, że cześć i pokój należy się z naszej strony zarówno

pamięci jak i śmiertelnym prochom umarłych.
(Z roczników pierwszej Komunii św.)

Objawienie z roku 1870.

W połowie Września 1870-go roku zakon-
nica Belgijka została nagle dotkniętą niewy-
powiedzianem moralnem cierpieniem. Sio-
stra ta nazywała się Maryą-Serafiną.

Odczuwała nieustannie jakąś niewidzialną
i niezwalczoną siłę, która, owładnąwszy ją
prześladowała ją ustawicznie. Wielki ciężar
gniótł jej prawe ramię, porównywała ona to
uczucie do wrażenia, jak gdyby jej ręka obcią-
żoną była wagą dwudziestu funtów żelaza.

Wreszcie 29-go Września, w dzień św.
Michała otrzymała list z Francyi, spóźniony
o dwa blisko tygodnie, z którego dowiedziała
się o śmierci ojca, zaszłej właśnie w tym cza-
sie, kiedy ona po raz pierwszy poczęła dozna-
wać nieznanego jej dotąd wrażenia. Tegoż
wieczoru, więcej jak zwykle poczęła się niepo-
koić, usłyszała głośnie jęki, a niebawem wy-
rażny głos, który do niej mówił:

— Córkó, miej litość nademną!

W parę dni potem, kładąc się spać, ujrza-
ła w celi postać swego biednego ojca, całą
w płomieniach i ogromnie smutną. Naza-
jutrz objawienie się powtórzyło — było to
dnia 15-go października w chwili, gdy klęcząc
przy łóżku, odmawiała modlitwę „Witaj Kró-

lowo.“ Objawienia te odtąd powtarzały się wielokrotnie w tymże czasie. Głos nieboszczyka dawał się słyszeć wyraźnie.

— Cierpię, rzekł, pewnego dnia, za moją niecierpliwość i inne przewinienia, których wymienić mi nie wolno.

Zapytany duch, azali odczuwa ulgę ze mszy św. odprawianych na jego intencję, odpowiedział; o tak — czuję niby słodką rosę, ochładzającą moją duszę; lecz mi potrzeba więcej jeszcze pomocy, szczególnie Drogi Krzyżowej, zlituj się! Drogi Krzyżowej.

Siostra, obawiając się podstępów szatana, prosiła objawiającego się jej ducha, by powtórzył za nią słowa: „Niech będzie uwielbione najśłodsze Serce Jezusa“ co ten natychmiast wyraźnym głosem uczynił, dodając: — tak dawno jestem już w czyśćcu, a ty nie masz nademną litości?

— Ależ, mój biedny ojcie, odpowiedziała siostra, zaledwie miesiąc upłynął jak opuściłeś ziemię.

— Ach! córko ty nie wiesz co to wieczność znaczy! Gdy dusza raz ujrzała swego Boga, odtąd straszne pragnienie całkowitego posiadania go bezustannie odczuwa. Jestem skazany na sześć miesięcy czyśca, lecz jeśli dobrze się za mną modlić będą, skróconą o połowę mieć będę karę. Otrzymałem pozwolenie od Boga uciekania się do ciebie o pomoc aż do czasu mego uwolnienia. Ach! jakżeż

byłem nierozsądny, sprzeciwiając się twemu powołaniu! Dziś, li tylko od ciebie, mogę otrzymać rzeczywistą pomoc. Twoje rodzeństwo myśli, żem w niebie i zaledwie kiedy nie kiedy twoja siostra odmawia za mnie psalm „Z głębokości.“

Dusza zapytywana, jakie są główne jej żądania, prosiła o odprawienie dziesięciu mszy św. i o parę ćwiczeń Drogi Krzyżowej.

Zakonnica pytała dalej, azali dusza jej matki znajduje się jeszcze w czyśćcu.

— Nie, usłyszała odpowiedź: ona poszła wprost do nieba. 17-go dnia tegoż miesiąca zjawisko się powtórzyło; było ono wprawdzie jeszcze bardzo smutne, lecz już bez ognistych płomieni. Skarżył się duch znowu:

— Jeśli nie pospieszysz mi na pomoc, córko moja, będę cię trapił bezustanku; Bóg mi pozwolił udawać się stale do ciebie. Moja droga, przypomnij sobie, że w dzień twych ślubów stałaś się ofiarą miłości bożej, musisz więc ponosić wszystkie skutki tego równie świętego, jak pełnego zaparcia się kroku. Patrz, patrz na to morze ognia, w którym przebywać muszę! Ach! gdyby człowiek mógł za życia dokładnie objąć i zrozumieć męki czyśćcowe, wszystkoby z siebie zrobił, byleby uniknąć tej kary, wszystkoby poświęcił dla ratowania biednych dusz tam uwięzionych.

Widzenie znikło wołając:

— Gorzeję! pragnę!

Jednego razu, na prośbę zakonnicy, będącej zawsze w słusznej obawie ulegania złudzeniu, zmarły położył palec na prawem ramieniu i na sercu swej córki. Na skutek bardzo dotkliwego uczucia oparzelizny zczerniała w tych miejscach skóra, chociaż ubranie nie zachowało żadnego śladu ognia. Rzecz godna uwagi: ta dusza, która dla siebie nic nie była w stanie uczynić przed Bogiem, mogła skutecznie pośredniczyć za drugimi. Na prośbę zakonnicy otrzymała ona raptownie uzdrowienie dla jednej z Sióstr zgromadzenia z zastarzałej i niezmiernie bolesnej newralgii.

W zaduszny dzień zjawisko powiedziało do zakonnicy:

— Dziś otrzymałyśmy wszystkie wielką ochłodę w cierpieniach; znaczna liczba dusz uleciała wprost do nieba.

Nie mogę również opuścić jeszcze jednego pocieszającego szczegółu: Innej Siostrze tegoż zgromadzenia objawiła się dusza czyścowa; skorzystała ona z tej okoliczności i zapytała się o los duszy swojego ojca, zmarłego nagle bez sakramentów. Niestety! żył on długie lata nie pełniąc religijnych obowiązków chrześcijanina katolika:

— Twój ojciec zbawiony, odpowiedziało zjawisko, lecz musi znosić długie jeszcze lata straszne męki czyśca. Niewątpliwie w ostatnich chwilach otrzymał łaskę doskonałego żalu, łaskę najwyższą, którą być może otrzy-

mał, dzięki codziennej modlitwie córki za jego zbawienie. Wśród pytań, jakie za pozwoleniem spowiednika Siostra Marya-Serafina zadawała duchowi ojca, były następujące:

— Czy dusze w czyście mają świadomość o tych, co się za nich modlą na ziemi i czy one same mogą modlić się za żyjących wier-nych?

— Tak. brzmiała odpowiedź.

— Czyżby te dusze, dodała Siostra, cier-piały, myśląc o grzechach popełnianych co- dzien przez ludzi, zwłaszcza w łonie ich ro- dzin?

— Tak, odrzekł duch ojca; to jedna na- wet z najcięższych naszych kar.

Tenże duch objawił również Siostrze Ma-ryi-Serafinie że, opuściwszy ziemską powłokę ciała, ujrzał Boga w pełni niewypowiedziane- go słowami Majestatu, również widział uwiel- bione człowieczeństwo Pana Jezusa, Najświęt- szą Pannę i jej czystego oblubieńca Józefa; widok ten dał mu dopiero pojęcie o dosko- nałości Boga i wprowadził go w zachwyt tak gorący, że od tej chwili pragnienie oglądania go co prędzej, stało się jednym z najdokuczli- wszych cierpień przymusowej w czyście poku- ty; równa się ono gorące pragnienia, jakie ciało na ziemi, przy braku wody, odczuwa. Następnie opowiedział, że Anioł Stróż często przychodzi doń z pociechą; szczegól niezmier- nie uderzający, bije bowiem z niego cała oj-

owska tkliwość Pana Boga, który, z żalem karząc, chętnie w możliwy sposób osładza cierpienia.

Z końcem miesiąca Listopada 1870-go roku Siostra Marya-Serafina od Najśłodszego Serca Jezusa miała zwykle objawienie. Dusza domagała się znowu modlitw całego zgromadzenia, zapowiadając, że o ile je otrzyma, jej kara skończy się na Boże Narodzenie. Zeznała następnie dusza, że męki czyścowe jakkolwiek nie pozbawione są pociechy, jaką daje pewność zbawienia, przechodzą jednak daleko w sile i natężeniu cierpienia męczenników. Zjawisko mówiło w dalszym ciągu, że ci, którzy noszą skaplerz Karmelitański, uzasadnioną winni mieć nadzieję uwolnienia się z czyśca w pierwszą sobotę po śmierci, o ile na ziemi wiernie spełniać będą przyjęte obowiązki. Dusza zmarłego ojca zaznaczyła, że dla wielu dusz, kary czyścowe rozciągają się do pięćdziesięciu i stu lat, są nawet takie, co do końca świata wyznaczoną mają pokutę.

Są to dusze, mówiła ona, jednocześnie bardzo winne i zupełnie na ziemi opuszczone. Zjawisko opisywało swoje cierpienia w następujących słowach.

— Wyrywam się nieustannie ku Bogu i jednocześnie czuję jak spędzają mnie w przepaść; zdaje się czasami, iż przy pomocy naj-

większego wysiłku jestem właśnie w punkcie ostatecznego wyrwania się stamtąd, ale znowu sprawiedliwość boża powstrzymuje mię, albowiem moje zadośćuczynienie nie jest jeszcze dokonane. Ponieważ siostra Marya-Serafina wielce cierpiała z przyczyny umartwień i surowości, jakie za pozwoleniem przełożonej i spowiednika, nakładała na siebie ta zboląła córka, pragnąc ratować duszę ukochanego ojca, przeto ten jej powiedział:

— Modliłem i modłę się za ciebie, musisz jeszcze, moje dziecko, wiele przecierpieć dla mnie, aż do chwili mojego uwolnienia.

Od dnia 3-go grudnia, dusza, jakkolwiek zawsze smutna, jęła ukazywać się co raz bardziej jaśniejąca. Poczęła mówić o zagniewaniu Pana Boga na grzeszników, a zwłaszcza na Francję, za publiczne gwałcenie niedzieli, za bluźniercze rozmowy, rozwiązłość, zapewniając jednocześnie, że nadejdzie czas odnowienia chrześcijańskiej myśli w sercu ludzkości: na bliższe zaś określenie chwili tego upragnionego zwrotu nie ma pozwolenia.

Następujące trzy akty miłości często powtarzała ta wybrana dusza.

„O mój Boże! daj mi miłość, jaką oddychają twoje Serafyny!“

„Udziel mi jeszcze większej łaski, daj mi miłość, jaką pała serce Najświętszej Bogarodzicy!“

„O mój Boże, czemuż nie mogę kochać cię tak silnie, jak ty miłujesz sam siebie!“

Między 3 a 12 grudnia dusza się nie zjawiała; dwunastego i w następne dwa dni przybywała co wieczór, za każdym razem jeszcze, wspanialsza. Wreszcie w dzień Bożego Narodzenia, w czasie pasterki o północy, przy Podniesieniu dusza ojca dała się zobaczyć zakonnicy po raz ostatni:

— Skończyłem mój czas pokutnego zadośćuczynienia, (expiacyjny) rzekł, przyszedłem podziękować tobie i twemu pobożnemu zgromadzeniu; z kolei, ja teraz będę się za was modlił. Dla ciebie, córko, prosić będę o doskonałe poddanie się woli Boga i o łaskę wejścia odrazu do nieba, bez chwilowego nawet w czyscu przebywania. Nieboszczyk w ostaniem objawieniu był tak jaśniejący niewypowiedzianym blaskiem, że córka zaledwie rysy twarzy rozróżniała, reszta bowiem postaci znikła w świetle nadprzyrodzonego blasku. Siostra-Marya-Serafina od tej chwili jęła tęsknić niezmiernie za weselem i ubłogosławieniem wieczności, której uchylony rąbek dano jej było oczami duszy na ziemi zobaczyć. Umarła jako święta w niespełna sześć miesięcy potem, dnia 23-go Czerwca 1871-go roku, mając zaledwie 28 lat życia. (Zob. *Trois apparitions d'ames du purgatoire*). Trzykrotne objawienie się dusz czyscowych str. 91—102.

Czcigodna Anna Marya Taigi.

Czcigodna Anna Marya Taigi budowała Rzym cały swemi heroicznemi cnotami, w ciągu pierwszej połowy kończącego się stulecia; obdarzoną była od Boga nadzwyczajnym darem, mianowicie przed oczami odczuwała zwykle rodzaj tajemniczego słońca, w którem widziała odbite wszystkie za światowe sprawy i rzeczy, niby w lustrze, a czasami nawet stan ludzkiego sumienia. Ulubionem jej nabożeństwem była modlitwa za dusze czyścowe; jeśli która, z poleconych jej dusz, miała jeszcze ponosić zadośćuczynne kary w czyśćcu, ukazywała Annie Taigi w promieniach tajemniczego słońca swój obecny stan, przyczynę kary, oraz pozostający jeszcze czas do wycierpienia. Jeśli dusza była potępioną, czarny punkt na tajemniczem słońcu jednej chwili dawał poznać Annie-Maryi, co było przyczyną potępienia tej nieszczęśliwej duszy.

Pewien znajomy czcigodnej Maryi Taigi umarł, a ona zaraz dowiedziała się, że udzielenie drobnej jałmużny było przyczyną zbawienia tej duszy. Nagabywany przez żebraka na ulicy, zadał sobie gwałt i przystanąwszy, udzielił biedakowi kilkanaście groszy. Otóż ten prosty akt cnoty stał się przyczyną otwarcia się dlań źródeł niebieskich łask, z po-

mocą których dokonał wielu czynów miłych Bogu, mających cenę i zasługę na niebo. Czcigodna Anna Marya miała pojęcie o stopniu cierpień tej duszy i o czasie jej pobytu w czyśćcu.

Miała ona również objawienie o zbawieniu pewnego hrabiego rzymskiego, który niedawno zakończył życie. Oddany zniewieścianości, z nudów, dla rozrywki, ciągle prawie podróżował, marnując tym sposobem zdrowie, słowem był bardzo marnym chrześcijaninem. Bóg w chwili śmierci dał mu żal szczery i doskonały w nagrodę za szlachetne darowanie winy nieprzyjacielowi. Według tego, jak czcigodna widziała w swoim tajemniczym słońcu, nieboszczyk skazanym był na przebywanie w czyśćcu odpowiednio długi czas, jaki zmarnował, bezpożytecznie żyjąc na ziemi.

Innym razem widziała osobę bardzo gorliwą, która w życiu wiele zrobiła dla dobra dusz, skazaną na okrutne cierpienia za uczucia próżności i czyny podyktowane miłością własną.

Pewien świecki kapłan, przyjaźnią złączony z Anną-Maryą Taigi, ukazał się jej po śmierci, objawiając, iż musi w czyśćcu cierpieć wielkie katusze za to, że za życia lubił podtrzymywać stosunki z wpływowymi osobami, li tylko z pobudek miłości własnej, zamiast żyć w pogardzie świata.

Prócz tego dojrzała ona w czyściu dwie dusze, skądinąd bardzo budującego życia na ziemi, które niestety zapomniały o pokorze i przynależnem skupieniu ducha.

Na krótko przed śmiercią papieża Leona XII usłyszała Anna-Marya głos z nieba rozkazujący: „Wstań i módl się; nadchodzi bowiem godzina dla mego Wikaryusza zdania rachunku z życia.“

W kilka lat potem Czcigodna, mając sposobność mówienia o Leonie XII, ujrzała jego piękną duszę na końcu promieni swego tajemniczego słońca, podobną do błyszczącego brylantu, którego jedna strona niezupełnie była jeszcze oczyszczoną.

Życiopisarze tej Czcigodnej przytaczają szczegół bardzo ciekawy i uderzający. Była ona obecną raz na żałobnem nabożeństwie, odprawianem za duszę pewnego kardynała i widziała oraz słyszała, że zmarły nie odczuwał żadnej ulgi, ani pomocy ze mszy św. i religijnych obrzędów, odprawianych w tym kościele jak również w pałacu, gdzie umarł. Podobało się bowiem Bogu wszystkie te duchowne pomoce przeznaczyć żebraczym duszom, opuszczonym w czyściu; dusza zaś kardynała dostateczną otrzymała pomoc z odmówionych na jej intencję różańców i innych modlitw, oraz z ofiarowanych za niego komunij świętych przez różne duchowne zgromadzenia.

Widziała ona dusze dwóch kapłanów, misjonarzy, jak prosto ze śmiertelnej pościeli przeszły do nieba; to samo objawienie miała Anna Taigi o duszach dwóch innych zakonników.

Pewnego dnia poszła Czcigodna do bazyliki św. Jana z Lateranu przyjąć tam komunie św. na rzecz duszy poleconego jej modłom nieboszczyka. Na pierwszej mszy św., jakiej słuchała tego ranka, poczęła odczuwać silną trwogę serca i cierpienia ciała, które zaraz nieomieszkała ofiarować poleconą jej duszę. Gdy drugi kapłan rozpoczął najświętszą ofiarę, smutek i cierpienie Czcigodnej niebawem zamieniły się w uczucia szczęścia i radości, albowiem dusza, za którą Anna się modliła, zbliżywszy się do niej, rzekła...

„Dziękuję ci siostro za twoją pamięć o mnie!“ — obiecała ona następnie, modlić się z kolei za nią w niebie, dokąd ulatywała.

(Z życia Anny-Maryi Taigi.)

Głos z za grobu.

Było to w Petersburgu, w jeden z tych mroźnych wieczorów zimowych, w których dopiero w całej pełni odczuwa się dobroczynne ciepło dobrze ogrzanego pokoju, gdy na dworze mróz dochodzi do trzydziestu i więcej

stopni poniżej zera na cieplomierzu Réaumur.

Byliśmy w rodzinnem kółku; kilku ściślejszych przyjaciół połączyło się z nami, dla spędzenia długiego wieczoru na miłej gawędzie i popijaniu herbaty. Wieczory zwykle nam upływają na roztrząsaniu ostatnich wiadomości, jakie wieczorne dzienniki stolicy przynoszą.

Duże dwie lampy, o przytłumionem świetle, wskutek opon z różowej bibułki, oświecały czerwonym blaskiem komnatę, rzucając na naszą gromadkę cień jakiś, słodki i zaciszny.

Rozmowa szybko zmieniała przedmiot; mówiono potrosze o wszystkim: malarstwo, muzyka, najnowsze książki, rzeźba, polityka z kolei wiązały się w jeden wieniec zajmującej gawędy.

W końcu rozpoczęto mówić o religii.

Ubolewano nad brakiem wiary w chrześcijańskich społeczeństwach, który szerząc się coraz więcej, niewiadomo dokąd doprowadzi skolataną ludzkość, jeśli Bóg jawnym cudem, nie wzmocni rozluźnionej wiary.

*) Opowiadanie to zaczerpnięte z dwutygodnika *Revue du Monde Catholique*, które w dosłownem prawie tłumaczeniu przytaczam. Patrz № 41 z Maja 1899 miesięcznik wydawany w Rzymie „*L. Purgatorio*.”

— Co? Cudu żądacie, zawołała jedna z obecnych osób, w naszych czasach przeżyły się już cuda!

— Tak pani sądzi? odpowiedział stary weteran wojskowy i jednocześnie wyraz niezadowolenia błysnął na jego poważnej twarzy.

— Naturalnie, że dziś mówić o cudach, to rzecz przestarzała; wszak Bóg sam zapowiedział, że cuda ustaną, aż do czasu jego powtórnego ukazania się na ziemi.

— A jednak! ja, odezwała się z powagą najstarsza wśród nas pani, przybrana w czarną morową suknię, ja, tu przytomna, mogę wam opowiedzieć fakt, zdolny zaprzeczyć zbyt śmiałemu zdaniu, że dziś cudów niema, który zaszedł w łonie mojej własnej rodziny, albowiem głównym działaczem był mój ojciec.

Wszyscy składający dnia tego nasze miłe kółko, ze mną na czele, otoczyliśmy staruszkę prosząc, by zechciała podzielić się z nami szczegółami tej historyi, której samo wspomnienie wywołało tak nagłą zmianę w rysach tej dostojnej pani, nie mogącej opanować na razie wzruszenia.

— Chętnie, odpowiedziała po chwili, opowiem wam ten fakt z życia mego ojca, lecz proszę nie przerywać mi ani jednym zapytaniem ciągu mej opowieści.

„Mój ojciec, rozpoczęła mówić szlachetna pani, był wdowcem od paru lat. Tak nad-

zwyczajnie kochał swoją matkę, że ból, jaki w jego sercu wywołała śmierć żony, zbuntował poprostu jego ducha przeciwko Opatrzności. Zamiast szukania ulgi na cierpienie w wierze, tak słodkiej, pocieszającej, która zapowiada życie przyszłe po za grobem, mój nieszczęśliwy ojciec poddał się zwątpieniu i usiłował zatrzeć w swej duszy wszelkie ślady chrześcijańskiej nauki. Prawdziwie coś nakształt gorączkowej zemsty ośwładnęło jego istotą.

Zdawało mu się, że mocen jest walkę rozpocząć z Bogiem! Zlecił więc opiekę nademną jednej z moich ciotek, siostrze mej matki, sam zaś, unikając ludzi, zamieszkał w willi, jaką miał na przedmieściu Kijowa. Osiadłszy tam, dopuszczał do siebie zaledwie paru najbliższych przyjaciół i to jeszcze bardzo rzadko. Dnie całe i część nocy, spędzał zamknięty w swojej pracowni na pisaniu książek przeciwko religii, w których zwalczał z wielką siłą i rzadkim nawet darem, wiarę w życie przyszłe, zaprzeczał bowiem zupełnie nieśmiertelności naszej duszy.

W jego oczach, wszystko, co jest na ziemi w żyjącym człowieku, to tylko ciało... a gdy ono raz umrze, wszystko skończone, wszystkie rachunki zamknięte.

Od paru lat, mój biedny ojciec, nurtowany niedającym się ukoić cierpieniem, pracował nieustannie, z zaparciem się siebie, nad tem

bezbożnem dziełem, w nadziei, że znajdzie odrobinę ulgi w swym bólu.

Wykończył właśnie parę dzieł równie niebezpiecznych jak i szkodliwych, które zamierzał wydać w Petersburgu, albo w Paryżu, gdyby cenzura państwowa zabroniła publikowania w Rosyi tak bezbożnej książki.

Pewnego dnia, po obiedzie, ojciec, siedząc jak zwykle, przy biurku, stojącym tuż pod oknem, które wychodziło na jedną z największych pustych i opuszczonych ulic Kijowa, usłyszał niezwykle hałas i rumor, następnie krzyki, wołania i cały szereg przekleństw.

Wstał i podszedł do okna, celem przekonania się, co zaszło? Zobaczył przewrócony ubogi karawan, tuż przed własnym domem. Wstrząśnienie sprawiło, że trumna na pół strzaskana skoczyła prawie na środek ulicy, a trup ze złożonemi rękoma leżał nieruchomy w błocie. Przestraszony woźnica żałobnego wozu, miał ręce wzniesione ku niebu, wzrokiem zaś zdawał się stamtąd przywoływać pomocy.

Lecz w tem ustroniu nie było nikogo, kto by mu ją podał. Było to w pierwszych początkach wiosny, właśnie w czasie roztopów, które szczególnie w Rosyi są tak okropnemi. Nieopisane błoto rozmazało się na drodze.

Cóż miał robić ten biedny żałobny woźnica sam? karawan przewrócony, koń szamocze się

w zaprzęgu, trup leży nieczuły w błocie, a trumna rozbita prawie na kawałki:

Mój ojciec w gruncie miał najlepsze serce; ogromna boleść, jaką mu zadała śmierć mojej matki, chociaż zachwiała jego wiarą i zmieniła nawet zapatrywania jego na ludzi i rzeczy, nie dotknęła jednak wrodzonej dobroci jego charakteru. Jak tylko rozejrzał się w tym smutnym widoku, jaki się pod jego rozpostarł oknami, zadzwonił na służbę i na jej czele podążył na ulicę, aby przedewszystkiem zaopiekować się nieszczęśliwym nieboszczykiem. Osobiście dopomagał do włożenia napowrót trupa w zreperowaną na prędkie trumnę i nie wrócił do swoich zajęć wcześniej, aż karawan ruszył w dalszą drogę.

Scena ta widocznie bardzo podzielała na nerwy ojca. Wyszedł o zmroku na spacer, a następnie cały wieczór spędził u jednego ze swych przyjaciół. Trochę uspokojony wrócił do domu i wedle zwyczaju siadł przy biurku do pracy, zamknawszy się na klucz w pokoju.

Jednak tej nocy pracować nie mógł, głowę miał ociążałą, myśli nie krążyły z taką łatwością, jak innych dni, czuł, że jego duch jest jakby obezwładniony.

Serce miał ściśnięte, a myśli tak powolne, że mimowoli, zostawiwszy umaczone pióro w kałamarzu, jał rozmyślać. Wstrząsający obraz, jakim się spotkał w ciągu dnia, nie schodził z jego wyobraźni. Ten biedak, zmarły

w nędzy, opuszczony od wszystkich, pół nagi, leżący w błocie, budził w ojcu politowanie; myśl o nim wielką sprawiała mu przykrość.

„Ani jednego nie miał przyjaciela, ani jednej litościwej osoby, nawet pies nie szedł za nim na miejsce ostatecznego zamieszkania!“ mówił do siebie i taka litość powstała w sercu ojca dla tego biedaka, że postanowił naza jutrz pójść na cmentarz i ku uczczeniu pamięci nieboszczyka wystawić na jego grobie krzyż, na którym obiecywał sobie wypisać imię i nazwisko nieboszczyka, o ile zdoła wiedzieć się o niem od cmentarnego stróża.

Doraźna myśl o śmierci roznieciła naturalnie w nim ostrzejszy, bardziej niż zwykle kłujący ból, podniecany wspomnieniem uwielbianej żony, którą tak gorzko bez utulenia oplakiwał. Ani kojący cierpienia czas, ani gorączkowa, gwałtowna praca, jakiej się z zaparciem oddał, nawet na chwilę nie zdołały zmniejszyć żalu ojca za swoją matką.

Na tę tak beznadziejnie rozdzierającą myśl: „już ja jej więcej nie ujrzę!“ wpadał zbolały mój ojciec w zapamiętałą, kamienną rozpacz. Niestety! czyż nie wyzbył się on wiary w nieśmiertelność duszy i zmartwychwstanie ciała? Skąd też jego cierpienie było tak ostre, że bunt w duszy przeciwko odwiecznej władzy Pana Boga, przybierał z dnia na dzień zastraszające rozmiary. Rankiem jednak wrócił do myśli, jaka powstała w jego

duszy ubiegłej nocy i skierował swe kroki ku cmentarzowi. Nie trudno mu było dopytać się u stróża, kogo tak późnym wieczorem ostatniego chowano i gdzie się znajduje jego mogiła. Zaprowadzono go na grób bezwłocznie.

Ojciec stał długo przed tą ziemią świeżo szpadlem poruszoną, zatopiony w myślach. Jedna od drugiej, bardziej czarna, beznadziejna, zdawały się one prześcigać wzajemnie, w sile, rozpacz i ogromie smutku.

Odchodząc, zamówił ojciec czarny krzyż z marmuru, polecając złotemi literami wyryć imię zmarłego. Gdy pomnik ukończonym został, ojciec poszedł na grób nieboszczyka, aby osobiście przekonać się, zali jego zlecenie sumiennie wypełnionem zostało.

Ojciec kończył właśnie ostatni tom zamierzonego dzieła. Wieczorem, w przeddzień wyjazdu do Petersburga, siedział on w gabinecie zamkniętym na klucz, jak zwykle przy stoliku. Zasiadłszy do pracy, otworzył szufladę, mieszczącą arkusze rękopismu, jakie pragnął po raz ostatni przeczytać. Podniósł przykrywkę kałamarza, umaczał pióro i jał, czytając, poprawiać gęsto zapisane karty. Zaledwie zdążył przebiec oczyma kilka arkuszy, usłyszał rodzaj głuchego stuku w pokoju. Z początku nie zwracał uwagi myśląc, że to drzewo w którym meblu pęka, lub mysz nieco za swobodnie biega po dywanie, lecz nagle usły-

szął wyraźnie odgłos stąpania ludzkich kroków, które się doń wolno zbliżały.

„Przecieżem dobrze, jak zwykle, zamknął moje drzwi“ pomyślał i już miał zwrócić głowę w stronę, skąd odgłos nadchodził, celem przekonania się o przyczynie szmeru, gdy nagle uczuł łagodne dotknięcie cudzej ręki na swem prawem ramieniu. Przełęknięty, mimowoli zrobił gwałtowny ruch głową w tył, i opuszczając się cały w zagłębienie fotela, poznał blade, prawie przezroczyste rysy nieszczęśliwego, którego ciało, leżące na ulicy, przy pomocy służących ułożył do trumny i któremu przed miesiącem postawił marmurowy nadgrobek. Nieboszczyk stał tuż przy jego boku.

„Nie lękaj się niczego!“ rzekł mu duch zmarłego głosem bardzo łagodnym. Owszem, pociesz się! przynoszę bowiem ulgę twemu skolatanemu sercu w nagrodę za to, żeś nie wzgardził mojem ciałem i podałeś mu w potrzebie pomoc. Miałeś zresztą bardzo chrześcijańską myśl przystrojenia mego opuszczonego od wszystkich grobu krzyżem! Krzyż to znak Chrystusowej wiary!... A więc posłuchaj mnie teraz... Wiesz dobrze, że nikt ze śmiertelnych do twego pokoju dostać się nie może, boś starannie zamknął na klucz i zasuwki jedyne drzwi, prowadzące do ciebie — lecz dusze te, niby podmuchy bożego oddechu, wszędzie przechodzą. Możesz więc tej chwili

przekonać się, że dusza jest rzeczywistością, a nie zmyśloną bajką, jak dotąd utrzymywałeś! Wielkie cierpienie, przechodzące twe siły, zamroczyło twoje w tym względzie rozumowanie do tego stopnia, żeś jął wątpić o tej kardynalnej prawdzie... Biedaku nierozumny! tyś w nic już nie wierzył. Bóg mi pozwolił ukazać się tobie dziś, aby cię przekonać o istnieniu duszy, i powiedzieć ci:

„Wierz! Zerwij z twojem szalonym puštěm dowodzeniem! Spal twe nierozumne pisma! i żyj szczęśliwie w nadziei odnalezienia tam w górze tej, co ją tak gorzko oplakujesz na ziemi.“

Mój ojciec, osłupiały, nie był zdolnym w tej chwili słowa przemówić i lodowaty pot wystąpił mu na czoło.

Cóż to za uderzająco tajemnicza była ta scena między duchem zmarłego, a człowiekiem zmiażdżonym nagle w swych najgłębszych przekonaniach, którym w dobrej wierze życie całe poświęcił!

...Zjawisko słodko się uśmiechnęło i wskazując ojcu na ścianę, rzekło: „patrz.“ Ojciec ujrzał na chwilę cień swojej matki... Zatrzymała się ona, spojrzała z niezmierzoną nań czułością i pokazując mu następnie palcem niebo, cicho lecz wyraźnie szepnęła: „Do widzenia.“ Przemknęła się, niby błyskawica, przed oczami zdziwionego ojca.

„Teraz, rzekł duch, raz jeszcze ci dziękuję...

„Ufaj Bogu! uwierz w życie przyszłe, spal twe bezsensowne, a szkodliwe pisma i czekaj godziny wspólnego połączenia!”

Po tych słowach znikło zjawisko. Mój ojciec padł na kolana, dziękując Bogu za cud, na który Stwórca niewątpliwie zezwolił li tylko w celu doprowadzenia go do starych prawd chrześcijańskiej wiary.

Tejże nocy ojciec spalił wszystkie swe przeciwne religii pisma, którym tyle lat mozolnej i bezowocnej poświęcił pracy.

Od tej chwili myślał tylko o szczęściu połączenia się z ukochaną żoną w pozagrobowem życiu.

Gdy dostojna pani kończyła swe rozcządzające opowiadanie, łzy wzruszenia przerywały jej mowę; my zaś wszyscy, cośmy ją uważnie słuchali, pod wpływem żywego wrażenia rozeszliśmy się tego wieczoru nie zamieniwszy nawet pożegnalnego słowa.

Hrabina Julja Apraksin.

CZĘŚĆ DRUGA.

Cierpienia tamtego świata.

Niepokoje świętych w godzinie sądu.

Pewien zakonnik, imieniem Stefan, został przeniesionym w duchu na sąd Pana Boga; leżał rozciągnięty na śmiertelnem łożu i prawie konając począł się trząść i odpowiadać niewidzialnej osobie; otaczający jego łożę zakonni bracia słyszeli z wielkiem przerażeniem następujące co do treści odpowiedzi:

— Prawda, że popełniłem ten czyn, lecz tyle lat pościłem, pragnąc zań pokutować. — Niezaprzeczam temu, ale oplakiwałem przez tyle lat tę winę. — I to prawda, lecz na zadośćuczynienie służyłem bliźniemu trzy lata...

Następnie po chwili milczenia:

— Ach! na to nie mogę odpowiedzieć: słusznie mię oskarżacie, nie nie mogę przyto-

czyć na moją obronę: jedynie polecam się skończonemu miłosierdziu Pana Boga.

Święty Jan Klimak przytaczając ten fakt, jako naoczny świadek opowiada nam, że ojciec Stefan czterdzieści lat przeżył w klasztorze; dał mu Bóg dar języków, oraz wiele innych wielkich nadzwyczajnych łask; przede wszystkim odznaczał się regularnością w zakonem życiu i surową pokutą.

Następnie święty Jan Klimak temi słowami kończy opowiadanie:

„Biada mi! Cóż się ze mną stanie, czegoż się mogę spodziewać ja nędzarz, jeśli syn pustyni i pokuty stoi na sądzie bożym bezbronny, wobec popełnionych lekkich przewinień?... Długie lata przebył w surowościach pokutniczego życia, Bóg go obdarzył szczególniejszymi darami, a jednak on opuszczając tę ziemię, zostawia nas w niepewności co do swojego zbawienia.“

Surowość Sądów Pana Boga.

„*Oprawca* ⁽¹⁾, mówi Zbawiciel, *wtrąci cię do więzienia, a powiadam ci: nie wynijdziesz stamtąd, aż i ostatni drobny pieniądz oddasz.*“

¹⁾ Luk. 12. 58.

Czcigodna Aniela Tolomei, zakonnica Dominikańska, siostra Błogosławionego tegoż nazwiska od najmłodszych lat wzrastała w praktykowaniu wzniosłych cnót, a dzięki nadzwyczajnej wierności otrzymywanym łaskom, doszła do wysokiego stopnia chrześcijańskiej doskonałości.

Wpadła pewnego razu w ciężką chorobę. Jej brat Błogosławiony Jan-Chrzcziciel Tolomei nie zdołał, mimo gorące modlitwy, wybłagać od Boga uzdrowienie dla siostry. Przyjęła ostatnie Sakramenta z wielkiem nabożeństwem i przed zgonem miała widzenie, w którem ujrzała miejsce przygotowane dla niej w czyście na zadosyćuczynienie za pewne winy popełnione w życiu; umierając widziała jednocześnie wszystkie rodzaje mąk, jakie dusze w czyście zmuszone są ponosić. Niebawem umarła, polecając swą duszę modlitwie brata.

Gdy niesiono ciało do grobu, Błogosławiony Jan Chrzcziciel zbliżył się do trumny i imieniem Zbawiciela naszego Pana Jezusa rozkazał wyjść siostrze z trumny. Natychmiast umarła, powróciwszy do życia, powstała z trumny. Święta ta dusza jeła opowiadać o sądzie Bożym przerażające rzeczy. Najwięcej jednak prawdę jej słów stwierdzał sposób życia, jaki odtąd prowadziła. Jej pokutne praktyki były istotnie przestraszającami. Nie mogąc się zadowolnić zwykłemi narzędziami

pokutniczej surowości świętych, jak czuwania, włosiennice, posty i biczowanie, zdawała się wysilać na wynalezienie sposobów skutecznego męczenia swego ciała. Zimą zanurzała się po szyję w zlodowaciałej sadzawce i długie godziny w tym stanie spędzając, odmawiała psalmy pokutne; innym razem tarzała się po rozpalonych węglach, aż do poparzenia prawie całego ciała, które wkrótce stało się przedmiotem wstępu i zarazem bezgranicznej litości dla żyjących razem z nią osób. Wszyscy bez wyjątku głośno ją ganili za to, że ona pragnęła dla siebie wszelkiego rodzaju upokorzenia i przeciwności i że zbyt ostrej poddawała się pokucie.

— Ach! gdybyście znali surowość sądów Pana Boga, mówiła nigdy nie śmieliłbyście mnie obwiniać! Cóż to wszystko znaczy w porównaniu z męką przeznaczoną w przyszłym życiu, za niewierności, na które tak łatwo sobie tutaj pozwalamy? Cóż to znaczy? to bagatela? pragnę sto razy jeszcze więcej wycierpieć!

Po kilku latach spędzonych w tych, przerażających zmysły, pokutnych doświadczeniach, czcigodna Aniela po raz drugi została zawołaną przed trybunał najwyższego Sędziego, którego tym razem znalazła mniej surowym, co potwierdza Kościół przyznając jej tytuł „Czcigodnej,” a tem samem świadczy,

że ona praktykowała cnoty chrześcijańskie w heroicznym stopniu.

W opowiedzianej historii, którą czerpię z akt przygotowawczych do kanonizacji Czcigodnej (Acta Boll), głównie uderza ta okoliczność, że tu nie ma mowy o grzeszniku umierającym w nienawiści Boga, ale rzecz się dotyczy słodkiej i dobrej jak gołębek, znanej z gorliwości zakonnicy, oddanej całkowicie obowiązkowi swego wzniosłego stanu. Za przewinienia w oczach ludzkich uważane za lekkie, poddawała się ona takim surowościom, pragnąc uniknąć okropności sądów Boga.

Niestety! Cóż się z nami stanie, jeśli sprawiedliwi w ten sposób są traktowani!

* * *

Dyonizy z zakonu Kartuzów pisząc o szczegółowym sądzie przytacza to, co mawiał pewien stary zakonnik, któremu Bóg odkrył rodzaj czyśćcowych cierpień.

— Świadczyć się Bogiem, mawiał, że gdybym znał człowieka, któryby mi wyrządził krzywdy, jakich w tej chwili nie jestem zdolny sobie wyobrazić, gdyby na przykład katuzszami męczył, a nawet zabił najlepszych moich przyjaciół, a doszłoby do mojej wiadomości, że został skazany na męki, które ja w tem strasznym oglądałem miejscu, wołałbym trzy tysiące razy przecierpieć wszystkie

okropności, towarzyszące naszej śmierci, byleby go tylko okupić przed temi mękami; do tego stopnia wszystko, co widziałem, przewyższa miarę cierpień, krzyżów i bólów ziemskich.

Według nauki teologów czyścowe cierpienia dzielą się na dwa rodzaje.

Pierwszą jest kara „utraty“ (poena damni), będąca cierpieniem, niedającym się słowami określić, a wynikającym ze smutnego wspomnienia grzechów, szczególnie zaś z powodu przymusowego pozbawienia się, wprowadzie tylko czasowego, oglądania Pana Boga.

Drugą jest kara „zmysłów“ (poena sensus), zasadzająca się na żywym odczuwaniu przerażających boleści, spowodowanych ogniem, którego przeznaczeniem jest oczyszczać dusze.

Ojciec Klaudyusz de la Colombière.

Czcigodny sługa boży ojciec Klaudyusz de la Colombière umarł śmiercią sprawiedliwych w Paray-le-Monial 15-go lutego 1682-go roku. Ponoślił on przez pewien czas czyścowe cierpienia. Był to człowiek wielkiej cnoty; sam Zbawiciel nazwał go swoim wiernym sługą, gdy mówił do Małgorzaty-Maryi: „przyślę ci mego wiernego sługę,“ a była to mowa o Ojcu de la Colombière, który niebawem

objął obowiązki spowiednika w wizytkowskim klasztorze Paray-le-Monial.

Boski Mistrz połączył nawet imię tego ojca z apostołskim dziełem rozszerzenia nabożeństwa do swego Serca, jakie zlecił wiernej swej służce:

„Udaj się, mówił do Maryi-Małgorzaty, do służki mego, Ojca de la Colombière, Jezuity, i powiedz mu odemnie, żeby wszystkie swe siły wyteżył w kierunku zaprowadzenia w Kościele moim tego zbawiennego nabożeństwa.

Niechaj się nie zniechęca wielkimi trudnościami, jakie na tej drodze napotka, albowiem powinien wiedzieć, że ten się staje naprawdę wiele mogącym, kto nie dowierzając sobie samemu, cały się poświęci i odda mnie na służbę.“

Gdy O. Klaudyusz w 1682-im roku zamierzał opuścić Paray, chcąc wrócić do Anglii, Błogosławiona Marya listownie zawiadomiła go o tem, że Bóg chce, aby w Paray złożył ostateczną ofiarę ze swego życia. Istotnie Ojciec Colombière w pare dni po liście Błogosławionej umarł 15-go lutego o godzinie 6-iej rano. Pewna pobożna panienska zawiadomiła o tem zdarzeniu Błogosławioną Małgorzatę; święta natychmiast odpowiedziała, nie okazując zdziwienia: „Sama się modl i proś wszystkich, aby się modlili za jego duszę.“

Po pogrzebie ta sama młoda osoba, pełna

żału, po stracie ojca duchownego, otrzymała od Małgorzaty-Maryi bilecik iej treści:

„Przestań się modlić za jego duszę, módl się teraz do niego: obecnie może on być tobie więcej niż kiedykolwiek pomocnym“.

W parę tygodni po śmierci Ojca Colombière, przełożona Błogosławionej zauważywszy, że ta ostatnia ani sama nie modli się, ani nie prosi drugih o modlitwę za duszę swego duchownego przewodnika, okazała więc swoje w tym względzie zdziwienie.

„Matko moja, odpowiedziała święta z całą pokorą, nie potrzeba! on sam jest w tym stanie, że może Boga prosić za nami. Dzięki miłosierdziu i niezrównanej dobroci najśłodszego Serca Pana Jezusa zajmuje on wysokie miejsce w niebie. Jedyne celem zadośćuczynienia za drobne opuszczenia w praktykowaniu miłości bożej, dusza Ojca została pozbawioną widoku Boga do czasu złożenia ciała w grobie.“

Wielki ten sługa boży cierpiał w czyszczeniu około dwudziestu czterech godzin; któż więc z nas może obiecywać sobie, że zupełnie uniknie czyśca?

Pracujmy w tym duchu, by nie zaznać czyśca i pomagajmy cierpiącym duszom za życia w tem przekonaniu, że kiedyś tej samej posługi od innych będziemy potrzebowali.

Kara utraty (poena Damni).

Największą męką przysłego życia, według nauki teologów, jest oddalenie od Pana Boga. Nic tu na ziemi nie jest w możności dać nam pojęcia o sile i dotkliwości tej kary.

Święta Katarzyna Genueska, chcąc nam dać przybliżony obraz tego uczucia, z jakim czyścowe dusze pragną oglądać Boga, następującem posługuje się porównaniem.

„Gdyby na całym świecie znajdował się tylko jeden bochenek chleba, którego własnością byłoby, że patrząc nań, wszystkie stworzenia głód swój mogłyby nasycić; gdyby człowiek w normalnym stanie będąc, potrzebując jeść dużo przy doskonałym stanie zdrowia nie mógł zaspokoić głodu z powodu braku wszelkiego pokarmu; przypuśćmy dalej, że on w tym ciągłym będąc głodowym stanie nie może ani zachorować, ani umrzeć: czyliż nie jest jasnem, że taki człowiek z każdą chwilą, stawałby się ofiarą coraz strasznego głodu?

„Przypuściwszy następnie, że taki człowiek wie, iż ten wyjątkowy bochenek chleba jest w możności widokiem swoim, zasycić rozdzierający jego wnętrzności głód i że bez oglądania go męka jego głodu będzie dlań wciąż coraz bardziej nieznośną katuszą; czyliż

nie jest widocznem, że o ile czułby iż ten upragniony chleb blisko znajduje się, a on nie może jego widokiem nasycić palącego głodu, to jego męka tembardziej byłaby sroższą, a jego natura instynktem wiedziona z całą gwałtownością pchałaby go do oglądania tego chleba, będącego jedynym przedmiotem tak gorącej żądzy?

„Wreszcie, gdyby wśród tych wzmagających się katuszy głodu, człowiek ten doszedł do tej pewności, że nie będzie mu дано cieszyć się widokiem tego chleba, cóżby za uczucia w nim powstały?

„Zrozumiałby, że piekło dlań się rozpoczęło. Odtąd byłby w równym stopniu niešťśliwy jak potępione dusze, które, wchodząc do piekła, straciły na zawsze nadzieję oglądania Boga, naszego prawdziwego Zbawcę i prawdziwego Chleba żywota.

„A więc! głód, jakiego doświadczałby ten człowiek, jest właśnie tą męką, którą odczuwają dusze czyścowe za wyjątkiem rozpacz; albowiem im przyświeca nieustannie nadzieja, że przyjdzie dzień, w którym nasycą się widokiem tego chleba do sytości. Istotnie nie możliwem jest ludzkim językiem opowiedzieć głód i cierpienie, będące udziałem dusz czyścowych, aż do czasu nasycenia się chlebem żywym, jakim jest Jezus Chrystus prawdziwy Bóg nasz Zbawca i nasza miłość.“

Istotnie nie możliwem jest, pisze O. Munford, zrozumieć jak wielkiem nieszczęściem jest dla duszy być pozbawioną choćby na krótki czas widoku Boga.

Dowiedzieć się można o tem dopiero w niebie, gdzie się poczyną odczuwać, jak wielkiem szczęściem jest oglądanie i posiadanie tego, który jest najwyższem dobrem, a mówiąc lepiej; *samą Dobrocią*, gdyby to było możliwem.

Ponieważ dusza, uwolniona z więzów ciała, odrazu znajduje się w możności oglądania Boga i niewątpliwie byłaby dopuszczoną do tego niebieskiego widoku, gdyby tylko grzechy nie przeszkadzały, dla tego odrazu odczuwa ona, że utrata tak nieskończonego dobra jest męką bardziej okrutną, jak dla człowieka nagła utrata do najwyższej potęgi podniesionego szczęścia ziemskiego.

Jakaż więc żałość musi być udziałem duszy oderwanej od Boga! Jaki ból, jaki smutek opanowywa, gdy pomyśli, że z własnej winy, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej do czasu utraciła dary nieba i że posiadanie Boga, czego się czuje pozbawioną, jest szczęściem nie dającym się w niczem porównać z ogromem stworzonego na ziemi dobra, choćby ono nawet było wiecznem!

Ciekawa historia.

W dzień W. W. Świętych, młoda osoba rzadkiej pobożności i skromności, ujrzała przed sobą duszę znajomej pani, która niedawno rozstała się z tym światem. Dusza dała poznać cnotliwej panience, że choć jedy-nem, jednak niezmiernie dotkliwym cierpie-niem jest dla niej w czyścu czuć się pozba-wioną widoku Boga. Kilkakrotnie ta dusza zmarłej pani ukazywała się naszej świątobli-wej dziewczynce i to zawsze w kościele, jakby chciała, nie mogąc oglądać Boga twarzą w twarz w niebie, nagrodzić sobie tę tęsknotę rozważaniem przynajmniej świętości Boga, ukrytego w eucharystycznych postaciach.

Nic nie może nam dać wyobrażenia, z ja-ką głęboką adoracją i bezgraniczną czcią du-sza ta zachowywała się w kościele. W czasie mszy św., podczas podniesienia, oblicze tej duszy jaśniało tak niewymowną radością, że zdawaćby się mogło, iż Serafin zstąpił z nieba; młoda osoba w takich chwilach na widok tego ubłogosławienia wpadała w zachwyt, oświadczać, że nic podobnie pięknego na ziemi zobaczyć nie zdoła. Gdy ziemską przy-jaciółka tej czyścowej duszy przystępowała do komunii św. ona towarzyszyła jej do stołu Pańskiego, pozostając przy niej cały czas

dziękczynienia, jakby chciała wziąć udział w szczęściu komunikującej i nacieszyć się również, jak ona, rzeczywistą obecnością Pana Jezusa w Sakramencie ołtarza. Dusza ta ukazywała się w białym ubraniu, mając zasłoneż tegoż koloru na czole; zwykle trzymała w ręku długi różaniec, znak czulego nabożeństwa do Królowej nieba, którem się w ziemskim odznaczała życiu.

Pewnego dnia nasza młoda uprzywilejowana, łącznie z kilkoma towarzyszkami, przystrajała ołtarz Matki Boskiej; po skończonej pracy wszystkie się pochyliły, aby ucałować stopy figury Najśw. Panny; nasza panienka złożyła dwukrotny pocałunek, raz za siebie, drugi raz za swoją pozagrobową przyjaciółkę i tejże chwili ujrzała ją, jak przybyła dziękować jej za pamięć z wdzięcznością. Tegoż dnia zmarła objawiła jej, że za życia przyrzekła dać na odprawienie trzech mszy św. przed ołtarzem Matki Boskiej, a nie mogąc tego dopełnić, dziś święty ten dług przyczynia jej cierpień, prosiła więc o wypełnienie za nią tego obowiązku. Po spełnieniu prośby, zmarła ukazała się z podziękowaniem, cała jaśniejąca, i na znak wdzięczności radziła swej przyjaciółce, aby nigdy nie czyniła ślubów bez doskonałego zastanowienia się, czy jest w możności spełnienia obietnicy; albowiem sprawiedliwość boża w tym względzie jest nieubłagana.

Jednocześnie dusza nieboszczki zachęcała młodą osobę do dziecięcej ufności ku Maryi, zalecając szczególnie rozpamiętywanie cierpień, jakie ona poniosła stojąc pod krzyżem na Kalwaryi.

„Gdy się spotkasz z wizerunkiem Matki Boga, mówiła do niej, pamiętaj, witaj ją, powtarzając te trzy wezwania z loretańskiej litanii: *Matko przedziwna, Pocieszycielko strapiionych, Królowo W. W. Świętych*. Im żywszem będzie twoje przywiązanie, im gorętsza pobożność do tej dobrej Matki, tem pewniejszą być możesz skutecznej jej opieki i wstawienictwa w przerażającej chwili sądu, od którego zależy nasz los w wieczności.“

Polecała również czułą miłość i czynne współczucie dla dusz w czyscu cierpiących, które są tak godne litości, choćby tylko z tego względu, że same sobie pomódz nie mogą.

„Ofiarowuj za nie, radziła, twoje modlitwy, pokutne i dobre uczynki, a one ci wszystko to zwrócą z wdzięcznością, gdy staną przed Bogiem.“

Pewnego dnia powolna świętym radom czyścowej duszy wybrana panienka postanowiła odmówić pięć Ojcze nasz i pięć Zdrowaś Marya, mając ręce na krzyż rozłożone, za dusze zmarłych. Zjawisko unyślnie przybyło i podtrzymywało omdlewające ręce dziewczynki, celem dopomożenia jej w modlitwie połączonej z umartwieniem.

Tymczasem dniie ubiegały, a mimo gorącego pragnienia i modlitw swej ziemskiej opiekunki ta święta dusza nie została jeszcze dopuszczoną do oglądania oblicza Pańskiego. 3-go grudnia w dzień św. Franciszka Ksawerego panienka zamierzała komunikować w kościele Ojców Jezuitów i zaprosiła tam swą przyjaciółkę z za grobu. Zmarła wiernie odpowiedziała na zaproszenie, towarzysząc jej przy komunii św. i pozostawiała cały czas dziękczynienia, które tym razem trwało bardzo długo. W końcu dusza podziękowała serdecznie swojej opiekunce za współczucie, oznajmiając, że jej tęsknota niebawem się skończy. 8-go grudnia w dzień Niepokalanego Poczęcia zjawiała się ta święta dusza po raz ostatni, ale tak jaśniejąca blaskiem nadprzyrodzonego światła, że przyjaciółka nie mogła patrzeć na nią; podziękowała też serdecznie za wszystkie usługi i uleciała do nieba, gdzie się cieszy wiecznem szczęściem oglądania Boga, do którego tak bardzo wzdychała.

Bulletin des oeuvres Expiatoires
czerwiec 1890 r.

K a r a z m y s ł ó w.

Drugą karą czyśćca są katusze ognia.

W bardzo znanym za dni naszych klasztorze w Stanach Zjednoczonych Ameryki dwie

zakonnice kochały się niezmiernie nadprzyrodzoną miłością, pobudzając się wzajemnie do co raz większej cnoty i doskonałości chrześcijańskiej. Dziesięć lat połączone szczerem i gorącym przywiązaniem wspólnie przeżyły w tym samym klasztorze te prawdziwie Bogu poświęcone dziewice. Jedna z nich umarła. Odprawiono za jej duszę żałobne nabożeństwa i modlitwy w całym zgromadzeniu, należne każdemu zmarłemu człowiekowi w tem jednak przekonaniu, że dla tej duszy są one niewątpliwie zbyt wiele, albowiem zmarła prowadziła życie na ziemi niezmiernie budujące — nazywano ją nawet powszechnie klasztorną świętą. Wieczorem, na drugi dzień po pogrzebie, gdy całe zgromadzenie w liczbie dziewięćdziesięciu trzech zakonnice w refektarzu jadło kolację, przyjaciółka, cała myślą zajęta o zmarłej, usłyszała następujące słowa:

— Przychodzę prosić cię o trzy msze św., Ach! wam się zdaje, żeście nadto modliły się za mnie i że ja nie cierpię. Żebyś miała pojęcie o moich katuszach dotknę się ciebie tylko jednym palcem.

Jednocześnie zakonnica uczuła silne oparzenie prawego kolana tak, że przerażona krzyknęła żałością, tracąc na razie z bólu przytomność. Można sobie wyobrazić chwilowe wrażenie i zamieszanie spokojnie spożywających dary boże zakonnice. Lektorka przer-

wała czytanie, przestano jeść, uwaga wszystkich została skierowaną na omdlałą siostrę. Po chwili zakonnica otworzyła oczy, a zasypiana pytaniami o przyczynę gwałtownego bólu, wymijające dawała odpowiedzi; dopiero na rozkaz przełożonej w imię posłuszeństwa szczegółowo wyznała wszystko. Sprawdzono, że miała na kolanie duży znak oparzenia.

Wypadek ten miał miejsce w czerwcu 1876-go roku.

Katolicki dziennik powszechnie znany „La Croix“ pisał w dniu 9-go listopada 1889-go roku: „Zakonnica ta żyje i nosi dotąd czarne ślady tajemniczego oparzenia.“ Naturalnie, że pospieszono na ratunek biednej duszy, odprawiono za nią msze św. a zakonnica już się więcej nie ukazała.

„Ogniste kąpiele, przez które muszą przechodzić czyścowe dusze, celem całkowitego oczyszczenia się, pisze św. Tomasz, są bezwarunkowo dotkliwsze od najokropniejszych tortur męczenników, bardziej męczące od pokutnych doświadczeń pustelników i świętych, cięższe do znoszenia od wszystkich ludzkich cierpień na ziemi.“

„Ten ogień, dodaje święty Anzelm, równa się pod względem siły cierpieniu piekielnemu z tą tylko różnicą, że trwa do czasu.

Któż z nas nie zadrży na myśl o tym trawiącym ogniu? Jakto! gdybyśmy mieli trzymać bodajby minutę palec w płomieniu bolesne

i przerażające wydawalibyśmy krzyki, czyż więc możemy myśleć spokojnie o tem, że uko-
chane nam dusze całe lata znoszą płomienie
czyścowego ognia i to... wskutek naszej winy
i opieszałości? Ach! cóż za okrucieństwo
z naszej strony!...

Zwęglony ślad ręki w Foligno.

Następujący wypadek przytacza biskup
Ségur:

„W roku 1870-ym w kwietniu, w Foligno
pod Asyżem we Włoszech, pisze świętobliwy
biskup, widziałem jedną z tych przerażających
płam ognia, pozostawioną przez objawiające
się dusze, które pragną tym znakiem zaświad-
czyć, że na tamtym świecie rzeczywisty istnieje
ogień.

„4-go listopada 1859-go roku, wskutek
apoplektycznego ataku, zeszła nagle z tego
świata w klasztorze Tercjarek—Franciszka-
nek w Foligno zakonnica Teresa-Małgorzata
Gerta. Długie lata pełniła ona obowiązki
mistrzyni nowicjuszek, zarządzając jednocze-
śnie ubogą szatnią klasztoru. Urodzona
w Bartia w 1797-ym roku, w lutym 1826 r.
przyjęła w Foligno klasztorny habit. Rozu-
mie się, że śmierć choć nagle, zastała ją go-
dnie przygotowaną na sąd Boga.

„We dwanaście dni po śmierci Teresy Gerta, 17-go listopada Siostra Anna-Felicya, będąca uprzednio pomocnicą zmarłej, a następnie objawszy po niej urząd, wchodząc do ubieralni, usłyszała ciche jęki, wychodzące z pokoju. Zaniepokojona, z pośpiechem otworzyła drzwi szatni—w komnacie nie było nikogo. Niebawem nowe jęki doszły do jej uszu, ale tak wyraźne i żalosne, że mimo wrodzoną odwagę, uczuła, że lęk oświadczył jej duszę. „Jezus! Marya! zawoła co to jest?“ Nie skończyła jeszcze mówić, gdy usłyszała pełen skargi głos i cichy jęk: „Ach Boże! jakżeż ja cierpię! Zdumiona zakonnica poznała głos biednej siostry Teresy. Ochłoniawszy trochę z wrażenia, zapytała: „Dla czego?

— Z przyczyny cnoty ubóstwa, odpowiedziała siostra Teresa.

— Jakto! wszakżeś ty była biedną!

— Ach, to nie za siebie cierpię, ale za siostry, którem w tym względzie nadto folgowałam. Ty się strzeż, siostro.

Jednocześnie cała komnata napełniła się kłębamii gęstego dymu, wśród których siostra Felicya dostrzegła na ścianie zbliżający się cień Teresy ku wchodowym drzwiom. Stannawszy przy wyjściu zawołała z siłą:

— Patrz, oto świadectwo sprawiedliwości Pana Boga!“ jednocześnie uderzyła we drzwi ręką, zostawiając wypalone na drzewie czarne

odbicie swej prawej ręki. Następnie zjawisko znikło.

Biedna siostra Anna-Felicja ledwo żyła z przerażenia. Prawie bezprzytomna, jęła krzyczeć przeraźliwie o pomoc. Niebawem całe zgromadzenie przybiegło do ubieralni; zakonnice uderzone w pierwszej chwili silnym zapachem zwęglonego drzewa, jęły się oglądać i szukać po pokoju tłącego się ognia. Na drzwiach zobaczyły to straszne znamię. Nie trudno im było poznać uderzająco drobną rękę ś. p. siostry Teresy, którą się za życia odznaczała. Przełknięte zakonnice uciekły wszystkie do chóru, rozpoczęły modlitwy za umarłych, a zapominając o potrzebach ciała spędziły noc całą na modlitwie, jękach i biczowaniu za nieszczęśliwą zmarłą Teresę, ranniem zaś na jej intencję wszystkie komunikowały.

Wieść szybko przedostała się za klasztorne progi; Franciszkanie, kapłani świeccy, przyjaciele zgromadzenia i wszystkie religijne stowarzyszenia miasta złączyły swe modły z dobrymi uczynkami Franciszkanek na intencję tej nieszczęśliwej duszy, która w tak nadzwyczajny sposób domagała się ratunku. Ten wspólny, gorący objaw miłości bliźniego dla zmarłej miał w sobie istotnie coś niezwykłego z powodu nadprzyrodzonej cechy, jaką bezwarunkowo się odznaczał.

Tymczasem siostra Anna-Felicja, cała złamana z przyczyny doznanych wrażeń, otrzymała wyraźny rozkaz przełożonej udania się na spoczynek. Usłuchała. W jej duszy powstał stanowczy zamiar zniszczenia nazajutrz zwęglonego na drzwiach śladu, co taki prze-strach rzucił na całe Foligno.

Lecz siostra Teresa-Małgorzata ukazała się jej znowu:

„Wiem, rzekła surowo, co zamierzasz uczynić; chcesz zniszczyć znak, który ci zostawiłam. Wiedz, że ci nie wolno się tego dotknąć, albowiem ten cud został spełniony z rozkazu Pana Boga gwoździ nauki i poprawy wszystkich. Jego straszny, a sprawiedliwy sąd ocenił moje przewinienia na czterdzieści lat przerażających ogniowych cierpień czyśca, a to z powodu mej słabości, jakiej często dawałam dowody względem niektórych naszych sióstr.

Dziękuję ci i twoim towarzyszkom za tyle ubłagalnych modlitw, które Bóg w swej dobroci wszystkie wyłącznie na rzecz moją zaliczyć raczył i szczególnie siedm psalmów pokutnych wielką przyniosły mi ulgę i skróciły oznaczony czas na moje cierpienia.“

Uśmiechając się łagodnie dodała w końcu: „O błogosławione ubóstwo, które tak wielką daje nagrodę i radość tym, co wiernie je praktykują!“ Duch niebawem znikł.

Nazajutrz 19-go listopada siostra Anna-Felicja udała się o zwykłej godzinie na nocny spoczynek; obudziła się nagle ze snu cała przerażona, wyskoczywszy z łóżka na równe nogi słowa wymówić nie była zdolną, usłyszała bowiem głos, który ją wzywał po imieniu i tym razem poznała również dobrze znany jej głos siostry Teresy. Jednocześnie jaśniejąca kula ukazała się przed jej oczyma, oświecając całą celę, a do jej uszu doleciał wesoly, jak zwyciężkie echo, głos siostry Teresy, który mówił: „Umarłam w piątek, w dniu Męki Pańskiej; oto również w piątek idę do wiecznej chwały. Bądź mężną siostró w znoszeniu krzyża!... bądź odważną w cierpieniu!“ I dodała z miłością: „Do widzenia!... Do widzenia!“ przemieniając się jednocześnie w lekki obłoczek biały, jaśniejący który, unosząc się ku niebu, niebawem znikł z oczu. W tym wypadku widzimy jawny dowód skrócenia czterdziestoletniej kary Czyśca na skutek modlitwy zanoszonej za duszą. Biskup łącznie z władzami magistratu miasta Foligno wdrożył proces kanoniczny o całym wypadku. Dnia 18-go listopada t. r. w przytomności wielkiej liczby świadków otworzono grób i trumnę siostry Teresy-Małgorzaty; znamię wypalone na drzwiach okazało się najzupełniej zgodne z prawą ręką nieboszczki. Skutek przeprowadzonego drobiazgowego śledztwa był taki, że sądy orzekły zupełną pe-

wność i rzeczywistość tego wszystkiego, cośmy dotąd opowiedzieli. Drzwi z wypaloną plamą wychowują się z wielką czcią w klasztorze. Matka przełożona świadek cudu raczyła mi je osobiście pokazać.“

Zakonnik Dominikanin z Zamorra.

Ferdynand z Kastylli, w swem życiu św. Dominika następujący opowiada wypadek. Pewien zakonnik Dominikanin żył świętobliwie w klasztorze Zamorra mieście należącym do obwodu Léon. Miał on wybranego przyjaciela w zakonie św. Franciszka, człowieka wielkiej cnoty. Pewnego dnia, w długiej rozmowie o rzeczach ostatecznych, obiecali sobie wzajemnie, że pierwszy który z nich umrze, o ile to zgadzać się będzie z wolą bożą, ukaże się po śmierci pozostałemu, w celu udzielenia zbawiennych przestroóg.

Franciszkanin umarł pierwszy w parę dni po śmierci, gdy syn św. Dominika zajęty był pracą w księżnicy klasztornej, ukazał się swemu przyjacielowi. Przywitawszy go z czułością oznajmił, że jakkolwiek zaliczonym został do liczby wybranych, zanim jednak dostąpi wiecznej w niebie radości, pozostaje mu dużo jeszcze wycierpieć za wielką liczbę drobnych win, za które niedość za życia żałował.

„Nic z rzeczy, podpadających pod zmysły ludzkie na ziemi, dodał, nie jest w stanie dać ci poznać, jak strasznie cierpię; Bóg pozwolił mi dać ci znak tego widomy.“

Skończywszy mówić, duch położył prawą rękę na stole, na którym pozostało zwęglone знамя, jakby je kto rozpalonem wytłoczył żelazem.

Taką była lekcyja ciekawości, jaką zmarły Franciszkanin dał swemu żyjącemu przyjacielowi. Skuteczną się ona okazała nietylko dla niego, ale i dla wszystkich, którzy mieli sposobność oglądać ten ślad tak głębokie mający znaczenie. — Naznaczony ręką umarłego zakonnik stół stał się niebawem przedmiotem religijnej czci, gdyż zewsząd przychodzono go oglądać.

„W chwili gdy opisuję, można go jeszcze obejrzeć w Zamorra, mówi O. Rossignoli; aby zabezpieczyć od zniszczenia pokryto go blachą miedzianą.“

Zabytek ten przetrwał do XVIII-go wieku; zniszczyły go rewolucye, które rozproszyły tyle cennych pamiątek naszej wiary.

Trwałość mąk czyścowych.

Kardynał Belarmin pisze, że dla niektórych dusz męki czyścowe, według bardzo poważnych objawień, ciągnęłyby się do dnia są-

du ostatecznego, gdyby Kościół nie pośpieszył im z pomocą.

Następujący przykład zaczerpnąłem z życia siostry Dyonizyi Wizytki (panna de Martignot).

Siostra Marya-Dyonizya należała do rzędu dusz najwięcej uprzywilejowanych pod względem porozumiewania się z duszami czyścowymi; życie swe całe poświęciła modlitwie i cierpieniu za nie.

Jednego razu po przyjęciu komunii św. w dzień Matki Boskiej Anielskiej Marya-Dyonizya uczuła tak gwałtowne wewnętrzne wstrząśnienie, jakby Pan Jezus chciał siłą oderwać jej duszę od ciała i raptem zaprowadzoną została przed bramy czyśca. Tam zobaczyła duszę potępionego księcia, który zginał śmiertelnie raniony w pojedynku, Bóg jednak udzielił mu łaski doskonałego żalu w ostatniej chwili, a Maryi-Dyonizyi zlecił modlić się w szczególniejszy sposób za jego duszę. Ona też skrupulatnie w ciągu dziewięciu lat i trzech miesięcy czyniła pokutę w tej intencji; więcej jeszcze, bo nawet własne życie złożyła w ofierze za uwolnienie tej duszy z czyśca — łaski tej jednak otrzymać nie mogła.

Widzenie to takie wrażenie uczyniło na zakonnicy, że przełożona dostrzegła, iż musiało się jej przytrafić coś nadzwyczajnego.

Marya-Dyonizya drobiazgowo opowiedziała treść swego widzenia, dodając:

— Tak, moja dobra matko, widziałam tę duszę w czyśćcu, lecz niestety! któż ją stamtąd uwolni? Być może nie wyjdzie ona z tego miejsca okrutnych mąk przed dniem ostatecznego sądu! Ach! matko — ciągnęła dalej płacząc — jakżeż Bóg jest dobry w swej sprawiedliwości! Albowiem ten książę cały był przejęty duchem tego świata! jakże on obojętnie przystępował do sakramentów św!

Wizye i dotkliwe pokuty tak dalece nadwerężyły zdrowie Maryi-Dyonizyi, że przełożona czuła się w obowiązku zrobić jej uwagę w tym względzie. Zakonnica z całym spokojem odpowiedziała, że jej przeznaczeniem jest cierpieć bezustanku, gdyż siebie złożyła w ofierze w intencji otrzymania jakiegokolwiek ulgi dla tej nieszczęśliwej duszy.

— A jednak, moja dobra Matko, mniej wzrusza mnie okropny stan cierpień, w jakich widziałam tę duszę księcia, aniżeli cudowne działanie łaski, która ostatecznie dokonała zbawienia.

Ta błogosławiona chwila, jest w moich oczach nadmiarem dobroci, słodczy, nieskończonej miłości Pana Boga. Czyn, skutkiem którego ten książę umierał, zasługiwał na piekło. Zasługi zaś księcia były zbyt małe, aby wobec ostatniego postąpienia dały mu

łaskę skuteczną w godzinie śmierci, lecz w moc artykułu wiary „świętych obcowanie“ modlitwy pobożnych osób, które szły za nim nieustannie do Boga, wyjednały mu usprawiedliwiający, dokładny, nadprzyrodzony żal w chwili jego zgonu.

— Wszechmocny Bóg w swem nieograniczonym miłosierdziu zezwolił, aby wpływ pobożnych osób w danej chwili mógł wysłużyć dla tej nieszczęśliwej duszy łaskę, przechodzącą daleko granice zwykłej dlań miary.

Ach! matko! odtąd wypada nam zachęcać świat cały, aby nieustannie błagał Boga, najświętszą Pannę i Świętych o cenną łaskę ostatecznej wytrwałości aż do końca życia, oraz aby każdy z nas rozumiał, iż jego obowiązkiem, jak również głównem na ziemi zadaniem jest przez całe życie torować bliżnim drogę do nieba za pomocą dobrych uczynków. Jeżeli bowiem podobalo się Panu Jezusowi w danym wypadku zmienić zwykłą Opatrzności wolę, to nie upoważnia nas do przypuszczenia, że właśnie podobny przywilej będzie naszym udziałem. W historyi Izraela jest mowa o wielu bitwach i wojnach; lecz słońce spóźnia swój zachód tylko dla Jozuego, przyspiesza go zaś dla Ezechiasza. Tysiące osób straciło duszę w pojedynku, a książę ten wyszedł z niego o tyle zwycięzko, że zbawił swą duszę. Na chwilę tylko odzyskał przytomność i skorzystał z tego szczęśliwego momentu, by współ-

działać z silnem poruszeniem nadprzyrodzonej łaski, która natchnęła go prawdziwie serdecznym i doskonałym żalem, usprawiedliwiającym duszę jego w godzinie śmierci.

Ta święta zaznaczyła również kilka przyczyn, które się składają na nieuniknione przedłużenie mąk czyśca:

1. Brak doskonałej czystości, jaką dusza mieć musi, zanim dostąpi szczęścia oglądania Boga;

2. Niezliczona liczba naszych grzechów powszednich

3. Mała względnie pokuta, jaką za życia czynimy za popełnione grzechy śmiertelnie, odpuszczone w sakramencie pokuty;

4. Zupełna niemożebność, w jakiej znajdują się dusze zmarłych ludzi, przynoszenia sobie jakiegokolwiek ulgi lub pomocy.

5. Nasza lekkomyślna niepamięć o zmarłych, oraz karygodne niedbalstwo przychodzenia im z pomocą.

Któż jest w stanie oznaczyć nam długość czasu i wielkość kary, wymaganej dla odpokutowania grzechu powszedniego, lub zniszczenia smutnych śladów, jakie w duszy zostawia grzech śmiertelny? O niezgłębiona tajemnico sądów Pana Boga!

Zaliż sama długość czasu nie dodaje bólu cierpieniom? Cierpieć strasznie i długo, czekać, czekać cierpliwie czas długi! i nie wiedzieć, kiedy koniec! Ach! co to za katusza,

jakie męczeństwo dla tych dusz błogosławionych! Dodajcie jeszcze, że siła cierpień, jakie w czyśćcu ponoszą, sprawia iż godziny wydają się latami, a dzień jak wiek cały!

Dzień w czyśćcu.

Czytamy w kronikach Braci Mniejszych (Annales Fr. Min.), że pewien zakonnik, oddawna trapiiony dolegliwą chorobą, stracił w końcu cierpliwość i prosił Boga, aby go uwolnił od tego krzyża.

Bóg wysłuchał modlitwy zakonnika; w nocy, lśniący nadprzyrodzonym światłem anioł, zbliżył się do łóża chorego mówiąc:

— Wybieraj między natychmiastowem opuszczeniem tej ziemi, poczem trzydniową odbędziesz w czyśćcu pokutę, a pójdziem wprost do nieba po roku jeszcze życia na ziemi wśród cierpień, które ci tak dolegają.

— Wolę umrzeć zaraz, odrzekł zakonnik, i cierpieć w czyśćcu, dopóki się Bogu będzie podobało.

W parę godzin po tej rozmowie syn św. Franciszka oddał Bogu ducha. Jeszcze nie upłynął dzień pobytu duszy zakonnika w czyśćcu, a nawiedził ją tam anioł.

— Cóż myślisz o stanie, jakiś sam sobie obrał!

— Ach! byłem ślepy, odrzekł duch zakonnik, ale tyś był mi okrutnym tyranem, mówiłeś mi o trzech dniach, a już chyba wiek upłynął od czasu, jak ten ogień począł mię pożerać.

— Mylisz się bardzo, odpowiedział wysłaniec nieba, dzień jeszcze się nie zamknął od chwili gdyś opuścił ziemię, twoje ciało jeszcze nie pochowane. Jeśli szczerze żałujesz za twój dobrowolny wybór, Bóg zezwala, abyś wrócił na ziemię i cierpiał jeszcze rok chorobę, jaką ci był przeznaczył.

— Ach! raczej dziesięć lat najcięższych chorób na ziemi, aniżeli jeden dzień w płomieniach! odpowiedział zawstydzony i żalem przejęty zakonnik.

Jednocześnie dusza jego napowrót połączyła się z ciałem w obliczu zdziwionego nad wyraz zgromadzenia i wspomniany Brat znosił jeszcze rok cały bez najmniejszego szemrania dotkliwie cierpienia, które uprzednio za niemożliwe do zniesienia poczytywał.

Ten obraz przypomina znane słowa św. Augustyna:

„Jeden dzień czyśca śmiało można porównać z tysiącem lat męczarni na ziemi, albowiem ogień, pożerający duszę, jest stokroć dotkliwszy od tego wszystkiego, co ludzkie ciało zdolne jest na ziemi przetrzymać.“

„Tam godzina boleści, dodaje pobożny autor, cięższą będzie, aniżeli tutaj sto lat przeżytych w surowej pokucie.“

Więźniowie z tamtego świata.

Pewien człowiek długie lata jęczał w ciężkiem więzieniu. Zmęczony nad wyraz cierpieniem, jał rozmyślać o sposobach swego uwolnienia. Wiedział, że w tym czasie żyła potężna pani, która swym wpływem mogła, gdyby zechciała, zerwać jego żelazne kajdany.

Oto, pisze historyk, w jakich wymownych słowach nieszczęśliwy zanosił do niej prośbę:

„Pani! 25-go bieżącego miesiąca 1760-go roku skończy się sto tysięcy godzin, jak cierpię w więzieniu, pozostaje mi jeszcze męczyć się dwakroć sto tysięcy godzin.

„Nie wiem, jaki skutek odniosła ta prośba, lecz zdaje mi się, że wymowniej przemówić w tak krótkich słowach, nie podobna.“

Sto tysięcy godzin upływa jak się męczę, pozostaje mi jeszcze dwakroć sto tysięcy godzin wycierpieć...

Sto tysięcy godzin!... A więc on je policzył? Tak, porachował je ten nieszczęśliwy, jak ty liczysz miarowe uderzenia zegara w ciągu długiej i smutnej nocy, gdy cierpienie z powiek sen ci spędziło.

Jeśli więc rzecz się tak przedstawia z więzieniem tu na ziemi, cóż myśleć dopiero o więzieniach zakrytego przed nami czyścowego świata? Któż nam jest w stanie opowiedzieć, jak pojmują ci nieszczęśliwi za grobem upływ i ciąg czasu? Albowiem dla nas ciąg czasu, to nie znaczy, że czas sam naprzód idzie, lecz to, że czujemy, jak on dla nas mija, stąd powolność upływania czasu dla cierpiących, rośnie w miarę ich męki i bólu.

Tem się właśnie tłumaczy, że duszom czyścowym, minuty wydają się długimi dniami, dnie latami, lata niekończącym się wiekiem!

Pewnego razu zmarły zakonnik ukazał się po swej śmierci jednemu z klasztornych braci objawiając mu, że trzy dni spędzone w czyścu wydały mu się dłuższymi nad tysiące lat.

Inny, znowu w stanie zachwyty, doświadczał mąk czyścowych tylko od Jutrzni aż do wschodu słońca, a zdawało mu się, że cierpiał pięćdziesiąt lat.

Pewien człowiek, lekceważąc czyścowe męczarnie ujrzał nagle dwóch młodzieńców, którzy jego ducha gwałtownie do czyśca zaprowadzili. Po kwadransie cierpień wołał: „Zabierzcie mnie stąd, lata już tutaj cierpię!”

Przeto więźniowie czyśca, daleko więcej od więźniów na ziemi rachują te beztermino-

we godziny, które bardzo powoli upływając, sprawiają, że męki wydają się wiecznemi.

(Patrz dzieło O. Feliksa: *Les Morts.*)

Należy się nawet modlić za świętobliwych.

Czytamy następujący fakt w życiu czcigodnego Ojca Yven, założyciela zgromadzenia zakonne Matki Boskiej Miłosierdzia:

Ojciec Yven stracił matkę, która mieszkała z nim razem w Brignoles. Była to niewiasta mężna, niezwyklego hartu, mająca silną wiarę, obok wypróbowanej cnoty.

Laska Boża związała te dwie wybrane dusze matki i syna nadprzyrodzonym węzłem, stokroć silniejszym od związków krwi. Ich dusze szły równolegle obok siebie, po drodze Bożej, prawie jednakowym żywionym zapalem. Zdawałoby się mogło, że ten rodzinny stosunek dwóch osób, całkowicie oddanych służbie Pana Boga, winien być pozbawionym wszelkiej czułości i serdeczności, która nadając wyjątkowo cechę ciepła, przeto najmielszą dla każdej ludzkiej przyjaźni na ziemi, pozostaje jej główną ożywiającą ozdobą i dalszą na przyszłość zachętą. A jednak tak nie jest. Świętość bowiem prawdziwa da-

leką jest od wysuszania serca ze szlachetnych uczuć; owszem, podnosząc co raz wyżej duszę ku Bogu, rozszerza serca i nadaje siłę tem większą, im czystsze i bardziej rozumem oraz łaską hamowane bywają jego naturalne skłonności. Stąd syn otaczał chorą matkę staraniem najczulszem, nie odmawiając jej nic, czego wąły stan, albo podeszły wiek matki wymagały.

Ze swej strony stara matka, którą nieuleczalna choroba trzymała w łóżku, martwiła się, że ukochanemu synowi, miasto być pomocą, ciężarem się stała: „Mój Boże, wołała, co powie mój syn, gdy wróciwszy z Kościoła spracowany, rozpalonego nawet ognia w domu nie zastanie? Mój Boże, zaliż on nie dość już cierpi, wskutek ostrego pokutniczego życia i włożonych nań obowiązków, abym ja jeszcze była dla niego przedmiotem troski, kłopotów i niewygód, zamiast być ma opieką i pomocą?”

Oto wzór delikatnej miłości i troskliwości kochającej matki. Jednak po nad temi uczuciami górowały jeszcze wielkie myśli, zrodzone z wiary: matka i syn nadewszystko nadprzyrodzonym celem kierowali się w życiu. Nic piękniejszego, nic bardziej czułego widzieć nie było można jak ich wzajemne prześciganie się w dobrem, jak ich zobopólne zachęty w doskonaleniu się w cnocie i świętości. Chrześcijanka zachęcała kapłana do wytrwa-

nia w cnocie ubóstwa i zaparcia się siebie, i, wykluczając z życia wszelkie ludzkie widoki prosiła, by innej nie znał woli, jeno wolę Boga.

— Mój synu, mawiała, chociaż bardzo biedni jesteśmy, jednak nie pragnę, abyś miał lepsze utrzymanie, ale za to życzę ci, abyś zawsze odczuwał potrzebę służenia Kościołowi. Wolę cię widzieć poddanym pod władzę drugich, wiernym w posłuszeństwie, aniżeli przełożonym, mającym moc rozkazywania; albowiem dobrze, że w dzisiejszem położeniu nikt ci nie będzie zazdrościł, że większym pokojem cieszyć się możesz i dokładniej pracować nad twojem zbawieniem.

I dodawała z zadziwiającym duchem wiary: „Dopóki będziesz postępował jako święty kapłan, zawsze będziesz dostatecznie bogatym.“ Kapłan bynajmniej nie dawał się matce wyprzedzić w cnocie, i, będąc dla niej synem co do ciała, a ojcem wedle ducha, prowadził ją mężnie po kolczastej ścieżce chrześcijańskiej doskonałości. Gdy się naprzykład skarżyła, że syn, nadto zajęty obowiązkami swego powołania, mało poświęcał jej czasu, on odpowiadał matce, jak niegdyś Jezus Maryi:

— Matko moja, potrzeba, abym się oddał cały sprawom mego Ojca niebieskiego, wywiązując się wiernie z ciężaru obowiązków, jakie Opatrzność na me słabe barki włożyła.

Bóg ciebie i mnieby skarał, gdybym z przyczyny zbytnej dla ciebie powolności uchylił w czemkolwiek moim duchowym zajęciom.“

Gdy wzmagająca się niemoc zapowiadała bliski koniec życia matki, Ojciec Yven, daleki od myśli uspokajania chorej marnem ludzeniem o polepszeniu zdrowia, pośpieszył przestrzedz ją o zbliżającej się śmierci, celem przygotowania ukochanej istoty do tej chwili, bądź przez przyjęcie sakramentów św., bądź przez szlachetne i dobrowolne złożenie Bogu tej ostatecznej z życia ofiary. Przy tem łożu śmierci widziano w synu tylko kapłana, a w kapłanie podziwiano świętego. Myśl tych dwojga ludzi nieustannie wysoko była nastrojona, rozmawiali tylko o niebie, lub o rzeczach bożych. Błogo było słyszeć te duchowe rozmowy między umierającą matką, a synowskiem i kapłańskim sercem; ich dźwięk poruszał wnętrzości i przynosił prawdziwą pociechę otaczającym. Jakież one były wspaniałe wobec tych tchórzliwych i banalnych rozmów, jakimi dziś chrześcijanie powszechnie starają się cieszyć drogie swemu sercu umierające istoty!

— Matko droga, mówił święty kapłan, ponieważ znam dobrze usposobienie twej duszy, obowiązkiem moim mówić z tobą otwarcie, skoro wiem, że sobie tego życzysz. Nie rób sobie nadziei, jakobyś powstać mogła z tej choroby. Jeżeli Bóg postanowił, abyś

umarła, co wszystkie zewnętrzne oznaki zapowiadać się zdają, wielką by to było niedoskonałością pragnąć dłuższego życia, widząc, że Bóg chce, abyś wkrótce złożyła mu ofiarę z niego. Cóż ci na tym świecie innego pozostaje nad dłuższe cierpienie, obawę przed obrazą Pana Boga, wysługiwanie się drugim? Dość długo żyłeś w pracy i utrudzeniu tej ziemi, abyś nie wzdychała za wiecznym odpoczynkiem w niebie. Twoje cierpienia i kłopoty skończą się ze śmiercią, a natomiast niezamącone rozpocznie się dla ciebie szczęście; pomyśl, że gdybyś wróciła napowrót do zdrowia, musiałabyś znowu śmiertelnie chorować, a byłaby to przykrość gorsza od obecnej. Co do mnie, chętnie otaczałbym cię nadal opieką, lecz ty upatruj tylko Boga i pilnie słuchaj wyroków Opatrzności. Myśl tylko o przygotowaniu się na sąd Boga i o złożeniu ostatecznej z życia ofiary, zgodnie z najwyższą wolą Jego, którą połącz z zasługami konania i śmierci Pana Jezusa.

Odpowiedź matki godną była natchnionych słów syna:

— Mówisz, mój synu, iż jest wolą bożą, abym wkrótce umarła. Bardzo jestem zadowolona: bądź błogosławione imię Pańskie, niechaj się spełni Jego święta wola na mnie! Bóg mi okazuje wielki dowód miłosierdzia, odciągając mnie od nędzy tego życia. Żałuję serdecznie za wszystkie winy, jakich się prze-

ciwko Bogu bliżnim moim dopuściłam, ufając, że dobroć boża daruje mi wszystko w imię zasług Jezusa Chrystusa i za wstawiennictwem Jego Najświętszej Matki.

Następnie, żegnając się ostatecznie z synem podała mu tą zacna matrona niektóre rady, natchnione wielką wiarą dojrzałej chrześcijanki i pełne w prawdziwej miłości matczynego serca:

— Mój synu, mówiła pozostań zawsze bardzo pokornym, nieustawaj w bojaźni bożej, ukochaj ubóstwo i cnotę posłuszeństwa; bądź wiernym i pełnym nadprzyrodzonej miłości w pełnieniu zleconych ci przez Opatrzność obowiązków. Będę się w tym duchu modliła do Boga, gdy przed nim stanę. Pamiętaj modlić się za duszę twojej biednej matki!

Czyż potrzebuję dodawać, że przewidziana śmierć nastąpiła i została przyjęta z pokorą i poddaniem się woli Najwyższego? Była to śmierć prawdziwie chrześcijańska, cała jaśniejąca promieniami świętej i bożej nadziei; była ona istotnie jutrzenką prawdziwego w Bogu za grobem żywota.

Było to późną jesienią. Chora pragnęła koniecznie z miłości ku boskiemu Dzieciątku umrzeć w dzień Bożego Narodzenia. Bóg jednak zdecydował inaczej i, nagradzając jej wytrwałe nabożeństwo do Matki Boskiej,

sprawił, że Honorata Lents stanęła przed trybunałem najwyższego Sędziego dnia 8-go grudnia w święto Niepokalanego Poczęcia.

Przy naszym słabem rozumieniu przyszłego żywota, przy niedokładnej znajomości istoty grzechu, wymagań wiecznej sprawiedliwości, oraz stopnia czystości, wymaganej dla mieszkania wśród Świętych, moglibyśmy sądzić, że ta wielka chrześcijanka, której życie było jednym aktem nieustającej pracy, modlitwy i dotkliwych cierpień, poszła wprost do nieba. A jednak inaczej się stało. Zaraz po pogrzebie Ojciec Yven zrozumiał, drogą nadzwyczajnych oznak, że jego matka przebywa w czyścu. Wewnętrzne objawienie dało mu poznać dokładnie rodzaj i stopień cierpień, jakie ponosiła; w końcu, do tego podwójnego świadectwa, dołączyło się jeszcze nieznane mu dotąd przygnębienie, jakie owładnęło jego duszą, popychające go do gorącej modlitwy, pracy i cierpienia na rzecz umiłowanej duszy. Tak przestrzeżony, nie cofnął się przed niczem, lecz używał wszelkich środków, jakie daje nam wiara, byleby tylko spieszyć z pomocą cierpiącej duszy. Zaprowadził stałe błagalne odwoływanie się do miłosierdzia Maryi i Świętych, które zawsze łączył z modlitwami, odpustami, dobrymi uczynkami, z ofiarą mszy św., ze łzami i umartwieniem.

Po trzech miesiącach zrozumiał, że został wysłuchanym, tembardziej, iż sama matka objawiła mu koniec kary i swój wstęp do upragnionego miejsca Błogosławionych. Miła woń rozeszła się tej chwili po pokoju, dając nadprzyrodzony zapach niebieskich rozkoszy. Święty kapłan nie posiadał się z radości i jednocześnie zaprzestał błagalnych modlitw za duszę matki, albowiem zupełny spokój w tym względzie zapanował w jego duszy.

Cóż to za pouczającą naukę stanowią dla naszej lekkomyślności te trzy miesiące, które przebyła w czyscu matka Ojca Yven! Jaki zastraszający widok otwierają one przed nami na nieskończoną sprawiedliwość Boga? Jeżeli ta pokorna, biedna kobieta w ciągu długiego życia nieustawając w pracy, cierpieniu, modlitwie, pokutnem zadośćuczynieniu, będąc pozbawioną wszelkiej radości i pociechy w życiu, zawsze pełna zaparcia się siebie, żyła w wielkim niedostatku! Jeżeli ona nietylko na chwilę nie zapomniała o Bogu i swoich obowiązkach, ale jeszcze, ceną tysiąca poświęceń, po chrześcijańsku wychowała liczną rodzinę, syna miała doskonałym księdzem, rad którego pilnie słuchała, przejmowała się naukami naśladowując przykład jego życia; jeżeli ona skończyła wreszcie dni swego żywota, oczyszczając duszę najzupełniej w ciągu długiej i bolesnej choroby... a jednak—taka jest świętość Boga, surowość sądów, taki brud najmniej-

szego grzechu, że ta niewiasta, mimo tylu modlitw, które poszły za nią do Boga, trzy miesiące musiała znosić zadośćczyniące płomienie ognia, nim się dostała do krainy wiecznego szczęścia! Ach! któż opisze miesiące, lata, a być może i wieki całe, cierpień przeznaczonych na ukaranie naszych codziennych słabostek, naszej nieuleczalnej oschłości...?

Święty Ludwik Bertrand i dusze czyścowe.

Święty Ludwik Bertrand z zakonu św. Dominika często odprawiał najświętszą ofiarę za nawrócenie grzeszników, a bardzo rzadko za dusze zmarłych.

Jeden z zakonnych braci, zauważywszy praktykę świętego, zapytał go o przyczynę.

— Dla tego, odpowiedział, że dusze czyścowe są zapewnione o swem zbawieniu, a tymczasem grzesznicy wystawieni są na ciągłe niebezpieczeństwa potępienia.

— Prawda, odpowiedział zakonnik; lecz czyż z innego punktu widzenia kwestyi tej rozpatrywać nie można? Wyobraź sobie, ojcze, żeś spotkał dwóch żebraków, co się o jałmużnę proszą: jeden kaleka, sparaliżowane ma ręce i nogi, przeto zupełnie niezdalny do pracy drugi, przeciwnie, lubo, młody i barczysty, lecz moralnie będąc przygnębionym

smutkami okolicznościami, przestał pracować i wyciągać rękę po jałmużnę.

Któremu z tych dwóch, według twego zdania ojcze, należy się od ciebie hojniejszy datek?

— Temu, co nie może pracować, odpowiedział święty.

— A więc, mój ojcze, ciągnął dalej zakonnik, dusze czyścowe są w podobnem, co kaleka położeniu; one same sobie w niczem dopomódz nie mogą: czas pokuty, spowiedzi, modlitwy i dobrych uczynków stanowczo już dla nich przeminął; my tylko możemy im nieść pomoc. Przeciwnie, grzesznicy mają do rozporządzenia wszystkie środki zbawienia: oni mogą i powinni uniknąć niebezpieczeństwa wiecznego potępienia, które im zagraża. Czyż wobec tego, ojcze, nie uważasz, że dusze cierpiące znajdują się w większej potrzebie i zasługują na lepszą i większą część naszej miłości bliźniego.

Święty Ludwik Bertrand przyznał rację bratu i odtąd przykładał się o wiele więcej, aniżeli dotąd do ratowania dusz w czyścui cierpiących.

✽

✽

✽

Na tem kończę pierwszą część niniejszej pracy, która ma na celu obrazowe, bo oparte na prawdziwych faktach, przekonanie czytelnika.

nika o istnieniu czyśca i kary w pozagrobowem życiu. Wszystkie te zajmujące przykłady, które, oprócz tego, że stwierdzają nieomylną naukę powszechnego Kościoła o losach dusz zmarłych, mają za zadanie pobudzić cię, pobożny czytelniku do istotnej i rzewnej modlitwy za drogie twemu sercu dusze osób zmarłych. Tyle mamy ku temu łatwiej sposobności korzystania bądź z licznych odpustów, bądź z osobistych dobrych uczynków, że ta praca, gdy się jej bliżej przyjrzymy, a po trosze w nią wdrożymy, równie łatwą jak wdzięczną i pożyteczną dla nas będzie. Mówię pożyteczną, bo pierwszy zysk, pierwsza nagroda, jaką z modlitwy za umarłych odnosiśmy, na nas się całkowicie zwraca, albowiem pracując nad rychłym uwolnieniem czyścowych dusz, z dokuczających im cierpień, jednocześnie sami baczenie nad własnem czuwamy zbawieniem.

Wdzięczna to praca, bo obowiązuje do wdzięczności dusze przez nas wspomagane, które gdy staną przed Bogiem nieomieszkają dobrem za dobre nam zapłacić.

Opowiadania, które po starannem zbadaniu źródła, skąd pochodzą, zgrupowałem w jedną całość, są to objawienia i wypadki, którym bezwarunkowo rozumnej ludzkiej wiary odmówić nie można, tak ze względu na autorów, którzy o nich świadczą, jakoteż na stanowisko i osobiste zalety osób, biorących

w nich pośredni lub bezpośredni udział. Jednakże zgodnie z wolą Kościoła oświadczam że nadaję im czysto ludzką powagę i najpokorniej pod nieomylny sąd Kościoła Świętego w tym względzie, jak zawsze i we wszystkim się poddaję.

Drugą część tej pracy, mówiącą o wspomaganiu dusz czyśćcowych i o ich wdzięczności, za łaską bożą, w osobnej książeczce niedługo drukiem, ku większej chwale Pana Boga, a rzeczywistemu pożytkowi dusz, zarówno naszych, jak czyśćcowych postaram się ogłosić.

Tymczasem, luby czytelniku, jeśli te skromne kartki poruszyły twoje współczujące serce na niedolę dusz czyśćcowych zmów za duszę ś. p. rodziców moich Zdrowaś Marya i Wieczny odpoczynek.

K O N I E C.

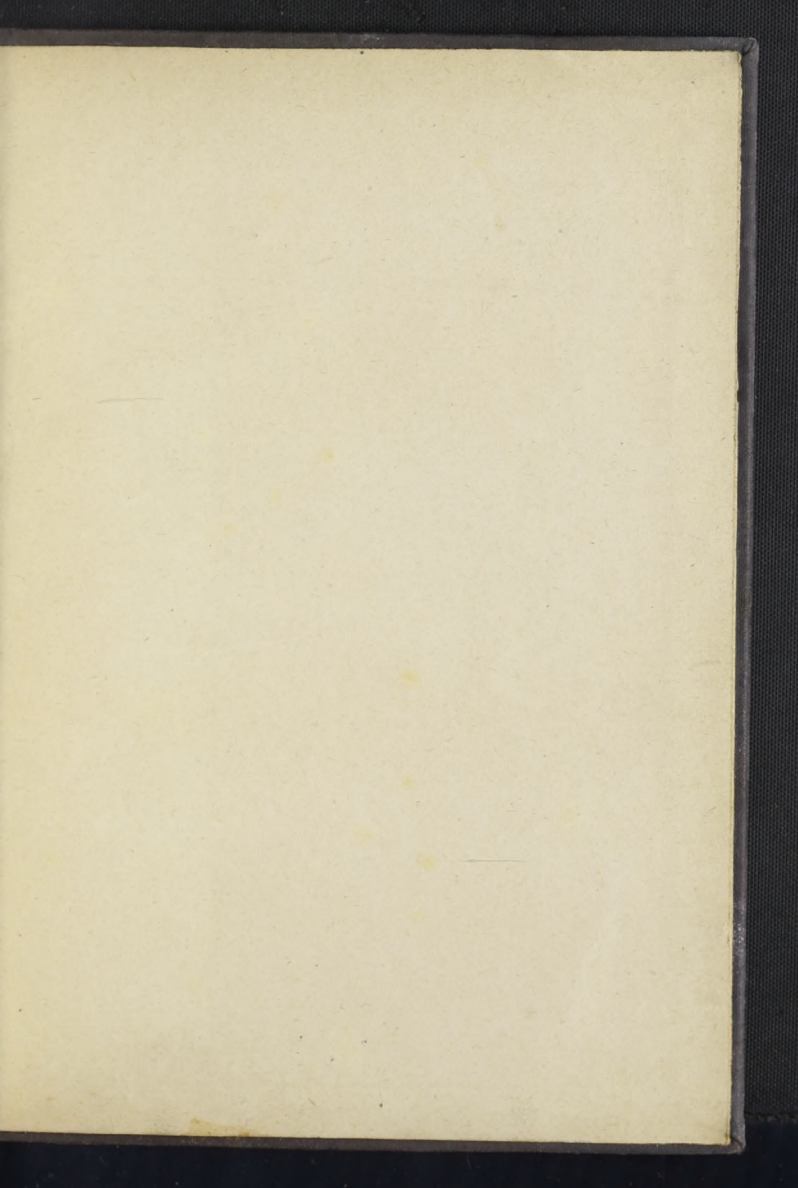
Służew, w Styczniu 1900 roku.

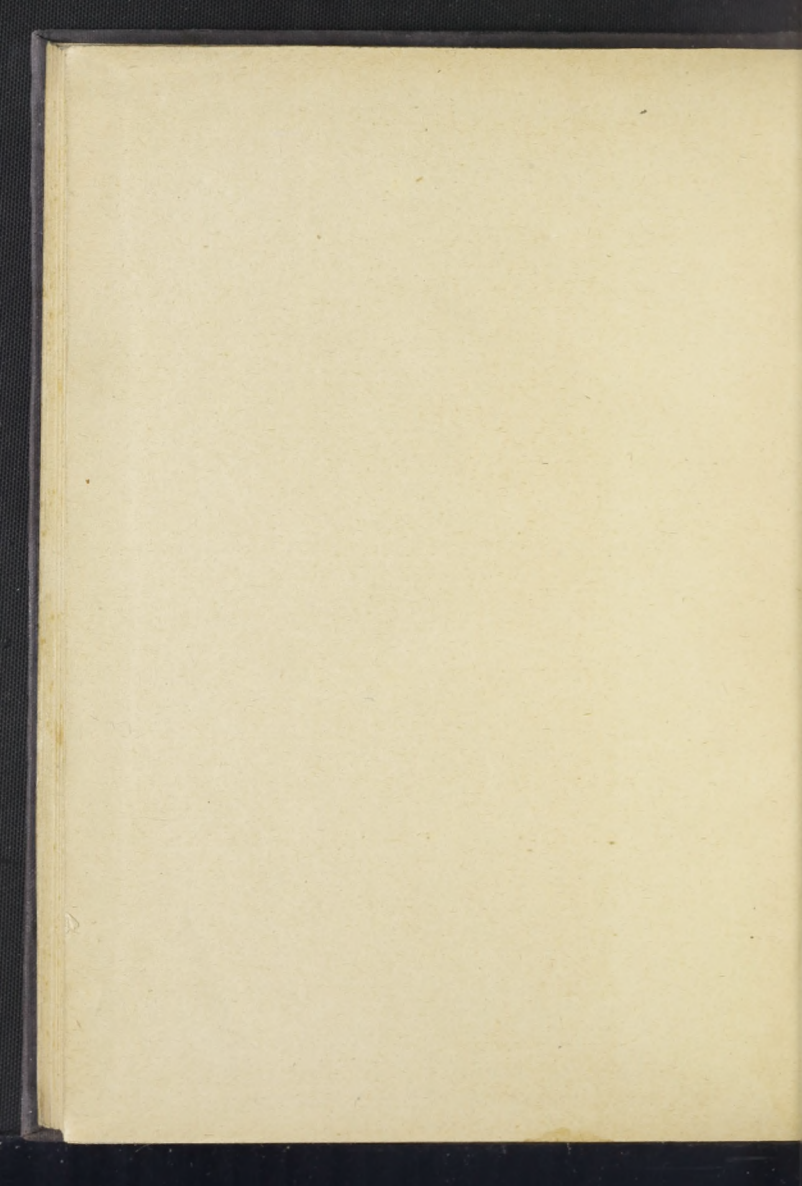
SPIS RZECZY.

	Str
Wstęp	1
 CZĘŚĆ I. Dusza ludzka nie umiera.	
Życie pozagrobowe stwierdza choćby sam fakt modlitwy za umarłych.	5
Pierwszy apostoł modlitwy za dusze czyścowe	8
Dziecięca dusza w czyściu	17
Legenda o karze czyścowej króla Dago- berta	19
Rzeczywistość pozagrobowego życia we- dług świadectw świętych	22
Widzenie świętej Teresy	28
Widzenie błogosławionej Maryi Mał- gorzaty	30
Widzenie Maryi Lataste	35
Rzeczywistość pozagrobowego życia stwierdza świadectwo naszego serca	38
Doktor protestanckiej teologii Peters	41
Cześć i pokój umarłym	57
Objawienie z roku 1870	63
Czcigodna Anna Marya Taigi	71
Głos z za grobu	74

CZĘŚĆ II. Cierpienia tamtego świata.	
Niepokoje świętych w godzinie sądu	85
Surowość sądów Pana Boga.	86
Ojciec Klandyusz de la Colombière	90
Kara utraty (poema Damni).	93
Ciekawa historia	96
Kara zmysłów	99
Zwęglony ślad ręki w Foligno.	102
Zakonnik Dominikanin z Zamorra.	107
Trwałość mąk czyśćcowych	108
Dzień w czyśćcu.	113
Więźniowie z tamtego świata	115
Należy się modlić nawet za świętych	117
Święty Ludwik Bertrand i dusze czyść- cowe	125







J. Lutosławski
Kralow, 10.5.78

- 5024



1218624

ca. 1.